

Agresja sowiecka 17 września 1939 roku



powtórzenie w bliższej lub dalszej przyszłości. Jak napisałem, nie jest istotnym czy były to Niemcy jako Prusy lub Rzesza Niemiecka, zaś Rosja carska czy sowiecka. Historia lubi się powtarzać.

Patrzac z pewnej perspektywy na tragiczny rok 1939 i zestawiając realia tamtego czasu z dzisiejszymi, dochodzi się do niezbyt wesołych wniosków. II RP w swojej dwudziestoletniej historii lat 1918-1939 potrafiła postawić przemysł obronny na niezwykle wysokim poziomie, który jednak był jeszcze niewystarczający w stosunku do sił niemieckich, nie mówiąc już o połączonych z nimi siłach rosyjskich. Dzisiaj,

17 września 1939 roku sowiecka Armia Rosyjska, w drodze realizacji ustaleń z III Rzeszą Niemiecką w tzw. pakcie „Ribbentrop-Mołotow” z 23 sierpnia, rozpoczęła inwazję na ziemie wschodnie II RP. Zarówno dzień 1 września jak i 17 września należy traktować utożsamiając, jako jeden akt rozbioru Polski. Tak samo zbrodniczy, tak samo tragiczny, który przyniósł miliony ofiar obu ludobójczych państw ościennych. Państw, które od samego początku wojny nastawiały się wyłącznie na agresję, a nie na obronę. O ile w przypadku Niemiec jest to oczywiste, o tyle przez wiele lat próbowano wmawiać Polakom, że „dobrotliwa” Armia Rosyjska autoramentu sowieckiego jedynie „wkroczyła” na ziemie państwa polskiego, aby „bronić życia obywateli tzw. Zachodniej Białorusi i Ukrainy” przed pożądaną wojenną.

Dzisiaj już nikogo nie trzeba przekonywać o fałszu takiej interpretacji. Jednakże zadaniem o wiele ważniejszym (i zarazem trudniejszym) jest uzmysławianie Polakom oraz innym narodom, że tragiczne wydarzenia roku 1939 nie były wcale odosobnionym przypadkiem w historii i że jest całkiem prawdopodobnym ich

Polska w 1939 roku miała szansę obronić się przed agresją niemiecką pod warunkiem wywiązania się naszych sojuszników zachodnich z układów obronnych. Zdrada Francji i Anglii pogrzebała ostatecznie możliwości skutecznej obrony, zaś agresja Rosji sowieckiej z 17 września od razu uczyniła całą sprawę beznadziejną. Dowództwo polskie naprędce przygotowało plany jakiegoś przegrupowania sił na terenach wschodniej Rzeczypospolitej, lecz tylko na potrzeby dalszego oporu przeciwko Niemcom. Nie istniały żadne plany co do agresji z dwóch stron. Stąd też ad hoc wydawane rozkazy po 17 września, nakazujące bierność wobec jednostek sowieckich, a obronę tylko w przypadku ataku z ich strony, były po prostu niepoważne i nie wpływały na jakąkolwiek kontrolę sytuacji. Inna rzecz to ta, że nawet takie mdłe rozkazy nie dotarły do polskich oddziałów na wschodzie wobec postępów sił sowieckich.

Najogólniej można powiedzieć, że 17 września 1939 roku oznaczał natychmiastową klęskę na wszystkich

Dokończenie na stronie 8

W numerze m.in.:

Strony 1 i 8

Agresja sowiecka 17 września 1939 roku

Strona 2

Demokracja. Czym jest i czy istnieje ?

Strony 3, 4, 5 i 6

W mniejszości siła

Strona 6

O reformie Gowina: „nie zawsze to, co trzeba i nie zawsze, tak jak trzeba”

Strona 6

Rocznica Porozumień Sierpnia 1980 roku

Strona 7

Uśmiechnij się...

Strony 9, 10, 11, 12, 14 i 15

Ostatni dyktator Europy

Strona 13

Księgarnia ANTYK poleca

Strony 16 i 17

Podróże Kształcą

Strony 19 i 20

Polskie paradoksy

Strona 20

Najnowsze książki Przemysław Słowińskiego

W swej drugiej części pytanie to może dziś niejednego zdenerwować. To jest tak samo, jak gdyby spytać tych ludzi, którzy nie uszanowali nawet znaku krzyża, wieszając na nim jakieś szmaty z napisem „konstytucja”. Jestem przekonany, że spora ich ilość, o ile nie większość, byłaby bardzo zakłopotana, gdyby ich spytać o treść tej konstytucji, bo zapewne jej nie przeczytali. Ale na tym polega właśnie taktyka wodzirejów demonstracji i głupota ogromnej większości demonstrujących, m. in. na rzecz demokracji. W tym przypadku można śmiało założyć, że mało który powiedziałby na czym ona polega. Bo też trudne to pytanie.

Czym jest demokracja ? To, co powiem, jak już wspomniałem, może zbulwersować wielu uczonych, polityków, choć nie powinno zwyczajnego obywatela. Bo on nie wierzy w żadną demokrację, wiedziony doświadczeniem dnia powszedniego. Oczywiście jeśli komuś pompuje się w uszy takie słowo z lewa i z prawa, ze wszystkich stron, to w końcu osłucha się i zaakceptuje, nie wiążąc z nim żadnej konkretnej treści. W demokrację nie wierzą także zresztą jej głosiciele z urzędu czy też ci, którzy udają, bo tak wypada. Dlatego tu postawione pytanie jest po prostu źle sformułowane. Powinno brzmieć: czym **powinna być demokracja** ? Otóż tutaj odpowiedź jest arcypiasna. Powinna stanowić rządy, na które jakiś konkretny ogół miałby realny wpływ, powiedzmy, ów demos, czyli lud, ale bez żadnych cenzusów, prócz jednego – jest nim niezakłócone używanie rozumu i wolnej woli. Powiedzmy z góry, że w obecnym świecie takie rządy są niemożliwe, gdyż zbyt wiele ludzi faktycznie w taki czy inny sposób jest zniewolonych. A zniewolenie wyklucza absolutnie demokrację. Jakie są metody niewolenia, to już osobny temat. Jest i druga przyczyna uwiąznięcia demokracji i to wcale nie w czasach najnowszych, ale, o dziwo, właśnie wówczas, kiedy wydawało się, że człowiek dojrzał do

wspólnego działania pro publico bono. To znaczy w erze rodzącego się liberalizmu. Żeby było zabawniej, narodziny te prawie się zbiegły z objawieniem przez Marksa komunizmu z jego walką klas.

Sprawa więc jest prosta. Tam, gdzie istnieją systemy partyjne nie ma demokracji, gdyż zawsze rządzić będzie grupa namaszczonej poprzez wybory przez część społeczeństwa. Nie znaczy to, że naruszono tu zasadę sprawiedliwości. Po prostu zgodzono się umownie na rządy wybranej większości. Jest to sensowne rozwiązanie, o ile egzekwuje się je konsekwentnie. Ale z demokracją nie ma nic wspólnego, gdyż demos doszedł do głosu tylko w czasie wyborów. Komuniści lepiej to urządzili, bo u nich było tylko głosowanie. Zasadę powoływania władzy drogą wyborów, tu opisaną zakwestionowała jednak dziś w Polsce tzw. totalna opozycja, zarazem wykrzykując slogany na rzecz demokracji, rozumianej jako sposób na dopchanie się do władzy właśnie owej opozycji w miejsce praworządnie wybranej. Czyli walcząc o demokrację opozycja ta zarazem w konkretnym przypadku kompletnie ją dezawuuje, a nawet zwalcza. Nie wiem czy taka głupota możliwa jest gdzieś indziej poza naszą kochaną Polską ? Jest to głupota wprost piramidalna. O potrzebie ministerstwa do walki z głupotą pisałem niedawno. Oto jeden z przykładów postulat ten podpierających. Nienawiść i pazerność są nie tylko dzieckiem głupoty, lecz także nie liczącej się z niczym i z nikim prywaty godzącej w dobro państwa i jego obywateli. Dlatego tym bardziej hasła obrony demokracji i rzekomo łamanej konstytucji, a przy tym wykołajenie się dużej części ludzi mających stać na straży porządku prawnego są niepokojące i perfidne. Polska doświadczyła już takiego sabotażu porządku publicznego podlenie się całowaniem cudzych klamek w zebraniach o wsparcie, nie mówiąc o łapówkach branych za zdradę Ojczyzny, dlatego tolerowanie tych wybryków jest

bardzo ryzykowne.

Pojęcie demokracji jest chyba w polityce najbardziej nadużywane i poniewierane. Mielśmy demokrację socjalistyczną i wyśmiewano się z niej, ale czy słusznie ? Komuniści postawili sprawę jasno. Uznali się jako pars pro toto w przekonaniu, że mają wyłączność na sprawiedliwe rządy. Przynajmniej byli szczerzy. A jedyną wadą była inscenizacja wyborów. Tak więc rządził rząd, czy partia, która stanowiła 5-6 % ogółu społeczeństwa i na tym właśnie polegała demokracja z przymiotnikiem: socjalistyczna. Do czegoż to innego dąży dziś opozycja totalna ? Oczywiście odsuwając na bok ów przymiotnik. Do tego samego, czyli niech żyje nieśmiertelny, jak to Jaruzelski mawiał, socjalizm. Tym razem przemałowano.

O demokracji Unii Europejskiej trudno wprost mówić. To długi i jakże zawiliły temat. Jedno jest pewne, że demos nic tu do powiedzenia nie ma. Tu rządzi Komisja Europejska coś w rodzaju rządu europejskiego, co jest sprzeczne z podstawowymi założeniami Unii, będącej teoretycznie organizmem suwerennych państw. Ale Komisja to też jest kameralnie ukonstytuowane ciało. Robi to co dyktują ci „równiejsi”. Czy to są Niemcy, czy też Francja, może jeszcze coś trzeba by dorzucić, ale z demokracją nie ma to nic wspólnego. Nawet z taką jaką stworzył Związek Sowiecki i zasponsorował połowie Europy, a jak to dziś widać, chyba także tej zachodniej jej części i może tutaj właśnie skuteczniej niż w demoludach. A więc gdzie w końcu jest ta demokracja ? A może w Parlamencie Europejskim ? W to już nikt nie uwierzy, nawet bardziej rozgarnięty licealista. A tak naprawdę, komu i na co ten parlament jest potrzebny ? Oczywiście, nie licząc beneficjentów aż obrzydliwie sutych apanaży europosłów. A demokracja ? Chyba jednak tylko pium desiderium ?

Zygmunt Zieliński

Mniejszość etniczna nie ma lekkiego życia. W nieodległej przeszłości członkowie mniejszości bywali pozbawieni przywilejów, upokarzani i poniewierani. Dziś nawet w krajach demokratycznych, mimo praw człowieka i formalnej równości, ludzie mniejszości często czują się obywatelami drugiej kategorii. Trudniej im uzyskać awans, prestiżową pozycję i wpływ na politykę kraju w którym przyszło im żyć. Przekłada się to na status materialny całej mniejszościowej grupy etnicznej – z reguły uboższej niż reszta społeczeństwa. Są jednak mniejszości, które znakomicie sobie radzą nawet we wrogim otoczeniu. Chińczycy w Indonezji kontrolują niemal 100 procent handlu, mimo że ich sklepy są regularnie dewastowane w cyklicznych "pogromach".

Choć Polacy w Vancouver opanowali pewien fragment rynku ulicznej sprzedaży kiełbasek, jest to sukces raczej umiarkowany wobec Hindusów, którzy są właścicielami dużych sklepów w prestiżowych dzielnicach tego miasta. Znajomy Hinduś wyjaśnił mi źródła ich powodzenia – nie korzystają z usług banków. Kiedy młodzi biorą ślub, krewni w ramach prezentu dają im gotówkę na rozkręcenie interesu. Jest to rodzaj pożyczki, która stopniowo będzie spłacana, przy czym "darczyńcy" otrzymują nieco lepszy procent niż przeciętna lokata bankowa, a "obdarowani" dostają trochę tańszy kredyt.

W ten sposób kapitał, który widocznie ma narodowość, nie wychodzi na zewnątrz własnej grupy etnicznej i nie idzie "do Żydów" (Hindusi w Kanadzie uważają banki za "żydowski interes"). Niewątpliwie Żydzi są narodem, który najlepiej sobie radzi jako mniejszość etniczna. Być może wskutek wielowiekowej diaspory zostali oni ewolucyjnie wyposażeni w zdolności przystosowawcze do życia w obcym otoczeniu. Źródłem przewagi społeczności żydowskiej była solidarność grupowa i zdolność do samoorganizacji, dzięki czemu każdy członek grupy zawsze mógł liczyć na pomoc gminy żydowskiej –

"kahału". Przed wojną powszechnie wiadomo było, że proces cywilny z Żydem jest z góry skazany na przegraną, bo strona "niearyjska" jest w stanie przyprowadzić pięciu świadków potwierdzających jej wersję wydarzeń. "Kahał" czasem działał jak zorganizowana grupa przestępcza niszcząc konkurencję przez wyrównywanie strat żydowskim sklepikarzom w wojnie cenowej (po przejściu "chrześcijańskiego" sklepu ceny wracały do normy). Wytworzono też skomplikowany mechanizm zapobiegający wewnętrznej konkurencji – można było wykupić w kahalie koncesję na konkretnego producenta (chłopa lub dziedzica), który nie mając wyboru skazany był na ceny dyktowane przez "koncesjonariusza". Skutkiem takich mechanizmów była słabość polskiego mieszczaństwa, którą najlepiej opisuje żydowskie powiedzenie "wasze ulice, nasze kamienice". Poważne kupiectwo zaistniało w zasadzie tylko w Poznaniu, gdyż po przyłączeniu miasta do Prus miejscowi Żydzi wyjechali robić lepsze interesy w Berlinie. Mimo wygodnego życia w Niemczech, właśnie tu narodziła się wśród Żydów idea syjonizmu – powrotu do "Ziemi Obiecanej". Idea była tak nośna, że podchwyciły ją miliony "Żydów – wiecznych tułaczy", którym w końcu udało się doprowadzić (przy pomocy zgodnego współdziałania USA i ZSRR) do powstania własnego państwa.

W Izraelu syjoniści – pionierzy ciężką pracą zbudowali od podstaw własną stolicę, zamienili pustynię w kwitnące ogrody i stworzyli sprawne państwo, w którym Żydami są nie tylko dyrektorzy departamentów, ale także np. inkasenci gazowni czy kasjerzy w "Biedronce". Żyjąc pośród wrogiego morza arabskiego obawiali się o swoje bezpieczeństwo i liczyli, że wkrótce będzie ich kilkanaście milionów. Wielkie było zdziwienie izraelskich pionierów, gdy okazało się, że Żydzi wcale nie zamierzają masowo przesiedlać się do Izraela. Pod adresem europejskich i amerykańskich ziomków Izraelczycy wytoczyli ciężkie oskarżenia. Zarzucali im wygodnictwo i przywiązanie do próżniaczego życia, zajmowanie się

lichwą, czy wręcz pasożytnictwem na społeczeństwach gospodarzy.

Były to dokładnie takie same zarzuty jakich używali antysemita wszystkich czasów od Tacyta, Cicerona, Seneki, przez Staszica, Diderota, Woltera, Franklina, Napoleona, Bismarcka, aż po antysemitów nam współczesnych. Różnica jest tylko taka, że niegdyś wypowiadano takie opinie otwarcie, a dziś zgnębieni antysemita co najwyżej szepczą je pokątnie. Stało się tak dlatego, że w międzyczasie Żydzi wypracowali sobie potężną broń obronną w postaci pojęcia "antysemityzmu". Człowiek, który zbyt dosłownie potraktował prawo do swobodnego wyrażania opinii, okrzyknięty antysemitą podlega ostracyzmowi towarzyskiemu (ma zamkniętą ścieżkę awansu, nikt mu nie podżyruje w banku, żona odmawia współżycia itp.).

Idealiści – pionierzy Izraela zawiedzeni postawą rodaków, którzy nie chcieli osiedlić się w swoim państwie, nie zdawali sobie sprawy, że właśnie wpływowa żydowska mniejszość w kluczowych krajach świata będzie źródłem siły Izraela. Bo państwo Izrael i diaspora żydowska grają w jednej drużynie – diaspora to najlepsze lobby Izraela, zaplecze jego służb, a czasem nawet „piąta kolumna” w kraju gospodarza.

Koło ratunkowe dla towarzyszy z PZPR

28 listopada 1989 roku przyjechał do Warszawy min. finansów Izraela - Szymon Peres na rozmowę z „pierwszym polskim niekomunistycznym” premierem Mazowieckim. Wyraził głębokie zaniepokojenie gwałtownym rozpadem rządzącej przez 40 lat partii PZPR i zalecił (polecił?) natychmiastową zmianę nazwy i wstąpienie do Międzynarodówki Socjaldemokratycznej, której był wiceprzewodniczącym (przewodniczącym był Willy Brandt).

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza już nie miała 2 mln członków, ale wciąż dysponowała ogromnym majątkiem, strukturami i rzeszą postępowych, internacjonalistycznych towarzyszy. I co ważne w demokracji – partia ta miała wielomilionowy żelazny elektorat składający się z rodzin nomenklatury partyjnej i aparatu represji. Czyż takie bogactwo miało się zmarnować?

Dokładnie w 2 miesiące po pamiętnej rozmowie Peresa nastąpił historyczny moment rozwiązania PZPR (27 stycznia 1990 - „sztandar wyprowadzić”), a już 2 dni później powstała Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej z przewodniczącym A. Kwaśniewskim na czele.

Towarzysze socjaldemokraci posiadający przekonanie, że Polski nie stać na samodzielność i nie mający zahamowań w służbie zagranicznym „koalicjantom”, byli potencjalnie cennym zasobem dla wywiadów różnych państw - mniej lub więcej zaprzyjaźnionych. Nic dziwnego, że raczkującą polską socjaldemokrację wsparła też doświadczona Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego udzielając (jeszcze przed formalnym powstaniem nowej partii !) tzw. „pożyczki moskiewskiej”. Wpłata 1.2 mln dolarów w używanych banknotach nastąpiła w mieszkaniu kontaktowym SB. Pieniądze świeżemu socjaldemokracji Leszkowi Millerowi wręczył rezydent KGB w Polsce W. Ałganow, a transakcja „mogła wypełniać znamiona przestępstwa” (w 1993 r. prokuratura umorzyła sprawę uzasadniając „znikomym stopniem niebezpieczeństwa czynu”).

Obecnie mało kto zdaje sobie sprawę z subtelnych różnic między socjaldemokracją, a komunistami, bo obie bratnie koterie w PE zgodnie potępiają łamanie praworządności w Polsce, ale w przeszłości przywódcy ZSRR nie zostawiali suchej nitki na socjaldemokratach. Oskarżali ich o „zdradę sprawy robotniczej” i „wysługiwanie się kapitalistom”. PZPR

była partią „nowego typu” - „leninowską”, czyli komunistyczną, choć Stalin wybierając jej nazwę użył słowa „robotnicza”, bo komunizm w Polsce kojarzył się z agenturalnością. Partie „starego typu” (socjaldemokracje) dopuszczały wielopartyjność i wybory w przeciwieństwie do komunistów – zwolenników „dyktatury proletariatu”. Rzesza członków PZPR w dwa dni przemieniła się z miłośników dyktatury w subtelnych demokratów i wyznawców „europejskich wartości”. Jak trafna z punktu widzenia agentur była decyzja o utrzymaniu za wszelką cenę PZPR świadczy spektakularna kłapa takich przedsięwzięć jak Ruch Palikota, czy Nowoczesna, w których inwestorzy utopili duże pieniądze.

Ciekawe, czy perorujący w telewizorach o praworządności i wartościach europejskich politycy SLD zdają sobie sprawę ile zawdzięczają sponsorom zewnętrznym. Czy mają jakieś zobowiązania?

Wizyta Sz. Peresa szybko przyniosła konkretne rezultaty – W 1993 roku „socjaldemokraci” zdobyli władzę, a ich przywódca A. Kwaśniewski został prezydentem. Wkrótce prezydenta odwiedził prezes Światowej Organizacji Restytucji Mienia Żydowskiego - Izrael Singer (ten, co groził upokarzaniem Polski w wypadku ociągania się w wypłacie „odszkodowań”) i uzyskał zwrot nieruchomości należących przed wojną do gmin żydowskich. O sprawie tak pisał w 2013 roku magazyn „Forbes”:

„Polska strona wytargowała od międzynarodowych partnerów prawie milion dolarów pożyczki na zorganizowanie całego przedsięwzięcia. Potem odbyła się dzika reprivatyzacja. Zgodnie z umową polskie gminy żydowskie dzielą się odzyskanym majątkiem ze swoimi partnerami z zagranicy po połowie. (...) Część z 40 mln zł, pochodzących z wyprzedaży gminnych nieruchomości trafiło w tryby wysublimowanego mechanizmu dystrybucji. Pieniądze rozchodziły się w hermetycznym środowisku menedżerów

skupionych wokół Związku Wyznaniowych Gmin Żydowskich (ZGWŻ) i Fundacji Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego (FODŻ).

Polskie urzędy, którym podlegają związki wyznaniowe, są w pełni świadome patologii zakorzenionej wśród skostniałych, mocno „okopanych” organizacji żydowskich. Nie mają jednak odwagi zabrać się za ten drażliwy problem w obawie posądzenia o antysemityzm”.

Mniejszości destrukcyjne

Odrodzona w 1918 roku Polska weszła w niepodległość z kłopotliwym bagażem – niemal 40 procent ludności należało do mniejszości etnicznych często niechętnych lub wręcz wrogich naszemu państwu. „Multikulti” nie zawsze skutkuje wzajemnym „ubogacaniem” stykających się nacji – czasem pojawiają się też kłopoty.

O tym jaki wpływ na sytuację Polaków mogą mieć mniejszości, przekonano się podczas pierwszych wyborów prezydenckich w 1922 roku. Wydawało się, że te wybory to czysta formalność, bo niekwestionowanym kandydatem na prezydenta był niezwykle zasłużony w staraniach o odzyskanie niepodległości hr. Maurycy Zamoyski. W szranki stanęło jednak jeszcze 4 kandydatów, nad którymi Zamoyski miał miażdżącą przewagę. Ordynacja przewidywała 4 tury głosowań w parlamencie – w każdej odpadał kandydat z najmniejszą ilością głosów. Taka ordynacja spowodowała szokujące zwycięstwo bezpartyjnego Narutowicza. Konsekwencje znamy. Dla ludowców i socjalistów „obszarnik” (hrabia był największym posiadaczem ziemskim w Polsce) i arystokrata Zamoyski był nieakceptowalny, jednak decydujące znaczenie miały głosy mniejszości narodowych. Tak więc po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z szatańskim sojuszem lewicy z mniejszościami – problem, który będzie nas gnębił w następnych stu latach.

Mniejszość ukraińska, żydowska i

niemiecka stwarzały poważne problemy państwowości polskiej (choćby jako zaplecze agentury i pretekst państw ościennych do mieszania się w wewnętrzne sprawy kraju). Już od połowy lat 20 – tych ub. stulecia nacjonałści ukraińscy zaczęli posługiwać się terroryzmem dla uzyskiwania swych celów politycznych. Podczas okupacji część Żydów ochoczo kolaborowała z okupantem sowieckim, natomiast Ukraińcy preferowali kolaborację z Niemcami. Mniejszość niemiecka oddała nieocenione usługi przy tworzeniu list proskrypcyjnych Polaków do zamordowania w Wielkopolsce i na Pomorzu. Dziś znamy ukraińskich nacjonalistów jako autorów ludobójstwa kresowych Polaków czasem zapominając, że z wielkim zapałem mordowali oni także Żydów, czy Ormian. Te zbrodnie poszły na konto "ludności polskiej", bo Żydzi amerykańscy i izraelscy nie są w stanie wychwycić subtelnych różnic między Polakami, a Ukraińcami.

Podobnie ma się rzecz ze słynnymi "szmalcownikami" – poręcznym narzędziem do okładania Polaków. Władze Armii Krajowej zidentyfikowały 125 "szmalcowników" w Warszawie (wykonano ok. 30 wyroków), z których tylko kilkunastu było etnicznymi Polakami pochodzącymi z marginesu społecznego. Większość okazała się być "folksdojczami", ale byli też policjanci żydowscy z formacji "Żagiew" zajmującej się wyłapywaniem Żydów ukrywających się po stronie "aryjskiej".

Likwidacja Polski we wrześniu 1939 roku okazała się kataklizmem dla wszystkich mieszkańców kraju – także dla mniejszości, które nie utożsamiały się z państwem polskim.

Ciekawe, że kandydat na prezydenta w pierwszych wyborach odrodzonej Polski – Zamoyski, we wszystkich turach głosowań otrzymywał stabilne 41 do 44 procent głosów – tyle mniej więcej, na ile dziś mogą liczyć środowiska niepodległościowe. Czyżbyśmy wciąż mieli 40 % mniejszości ?

Kandydat na prezydenta z unikalną wiedzą

W pierwszych wyborach prezydenckich po "upadku komuny" jakaś frakcja służb ("nacjonałkomuniści", pogrobownicy Moczara ?), która nie załapała się na frukty "okrągłego stołu" postanowiła wystawić swojego kandydata. Faktem jest, że Stan Tymiński czyli "człowiek z nikąd" jak go określiła Gazeta Wyborcza, dysponował wielką wiedzą, a przede wszystkim "kwitami" na Wałęsę. "Kompromaty" przechowywał w mitycznej czarnej teczce, którą wymachiwał na spotkaniach. Gazeta Wyborcza zwalczała Tymińskiego wyjątkowo zajadle – np. rozpuszczono wiadomość, że Tymiński "bije żonę". Oddelegowano młodego dziennikarza P. Najsztuba, który zapisał się do partii X założonej przez kandydata i nie odstępował go na krok. Mimo to udało się Tymińskiemu pokonać Tadeusza Mazowieckiego i wejść do drugiej tury. Prawdopodobnie z troski o własne bezpieczeństwo "człowiek z nikąd" zawahał się jednak użyć materiałów udostępnionych mu przez służby i Wałęsa wygrał prezydenturę, a my na wiedzę o "Bolku" musieliśmy czekać 18 lat. Czy Tymiński byłby lepszym czy gorszym prezydentem niż Wałęsa ?

Bardziej istotne jest, czy konkurencyjna frakcja nie byłaby per saldo lepsza od "okrągłostołowej", bo cenę za demokrację instalowaną nam przez G. Sorosa i jego ziomków znamy i płacimy do dziś... Poniższe wynurzenia Stana Tymińskiego można uznać za gaworzenie antysemity, ale nie ulega wątpliwości, że był on znacznie lepiej poinformowany niż my wszyscy i dużo wcześniej znał fakty, które poznaliśmy niedawno.

"Zawsze tak było w historii świata, iż jeżeli na danym terenie geograficznym współżyją dwie grupy kulturowe, dwie kultury, takie jak kultura polska i kultura żydowska, to jedna będzie się starała zająć dominującą pozycję. I tutaj nie chodzi o to, kogo jest mniej, a kogo więcej, bo oczywiście licznie żydowska grupa władzy jest niewielka, maksymalnie kilkaset osób. Ale

mimo to, ta mała grupa żydowska w jest na topie, tak w polityce, jak i w mediach. Jest na topie głównie dzięki zewnętrznym źródłom finansowania w Polsce. Jest też na topie ze względów historycznych. To Stalin narzucił Polsce w 1944 roku polskojęzyczny rząd w Lublinie. Do tego doszło panowanie grupy żydowskiej w aparacie represji komunistycznej, od Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego poczynając. Taki był punkt wyjścia istnienia w Polsce współczesnej żydowskiej grupy władzy. To, że Kościół katolicki w Polsce jest przedmiotem stałych ataków medialnych, będąc poniżany i obrażany, jest wynikiem panowania kultury żydowskiej grupy władzy, wrogiej wobec kultury łacińsko-chrześcijańskiej, z jakiej wyrosła kultura polska. Hasła wielokulturowości, globalizacji i kosmopolityzmu są przejawem takiej dominacji. (...) Otóż ta mała grupa władzy żydowskiej nigdy się nie podzieliła łupami terapii szokowej Balcerowicza. Nie podzieliła się też dolarami, których dostali dziesiątki milionów w latach 80-tych od różnych organizacji w Ameryce. Nie dziwota, że z takim poparciem finansowym oraz wsparciem politycznym możliwych tego świata, zmieniając nazwy kontrolowanych przez siebie partii politycznych, dążą do całkowitej politycznej dominacji w naszym kraju.

Ważnym ośrodkiem żydowskiej władzy w Polsce jest założona w 1988 roku Fundacja im. Stefana Batorego w Warszawie, finansowana przez George'a Sorosa, znanego ze spekulanckich ataków finansowych w wielu krajach. Innym ważnym ośrodkiem władzy tej grupy jest Ministerstwo Spraw Zagranicznych, gdzie stałą praktyką jest mianowanie ambasadorów i konsuli spośród żydowskiej grupy władzy. Stwarza to sytuację nieufności do tych urzędów ze strony Polaków na emigracji (...) Przerażająca jest beczelność tej grupy w niszczeniu naszej narodowej kultury oraz promocji Polaków jako antysemitów." Nie wiem dlaczego ludzie żydowskiej

O reformie Gowina: „nie zawsze to, co trzeba i nie zawsze, tak jak trzeba”

W mniejszości siła (dokończenie)

grupy władzy stale zmieniają nazwę swoich partii politycznych. Powinni oni śmiało wystąpić na arenie politycznej jako partia żydowska, aby podobnie jak mniejszość niemiecka mieć swoich posłów w Sejmie. Wtedy byśmy mogli z nimi uczciwie grać w polityczną piłkę na polskim boisku.

(...) Istnieje poważny konflikt interesów, kiedy ta grupa ukrywa swoje pochodzenie i nachalnie narzuca niekorzystne dla Polaków rozwiązania, aby przejąć większość finansowych i państwowych instytucji w Polsce. Na tej płaszczyźnie nie chodzi o antysemityzm czy też antypolonizm, ale o to czyja będzie Polska.

Wprawdzie niektórzy architekci "okrągłego stołu" nie ukrywali swojej etniczności (Urban, Geremek, Michnik), ale znacznie większa ilość ich ziomek obradowała "pod przykryciem" (udział "mniejszościowych" uczestników "okrągłego stołu" historycy określają na 30 – 40 procent).

W przedwojennym polskim sejmie Blok Mniejszości Narodowych liczył 66 posłów, a w jego skład wchodziło także wpływowe Żydowskie Koło Poselskie. Oczekiwanie jednak, że dziś może nastąpić jakiś "coming out" polityków nie chwalcących się swoją przynależnością etniczną, świadczy o naiwności Tymińskiego. Jego protektorzy powinni wytłumaczyć mu, że działanie "pod fałszywą flagą" jest skuteczniejsze.

Jan Martini

W tytule sparafrazowano zdanie poniżej cytowane.

Dosłownie przed godziną na (9.00 4 IX 2018) pojawił się na portalu Niepoprawni.pl artykuł Józefa Wieczorka p. t. *PAN z kilkunastoletnim późnieniem idzie moimi i NFA śladami*.

Czytam także:

„Reforma Gowina – systemu akademickiego, chociaż niezadowolająca, spowodowała aktywizację wielu środowisk akademickich, zwykle ospałych, raczej skłaniających się do zachowania obecnego, choć niewydajnego, patologicznego status quo. Reforma nieco zmienia, choć nie zawsze tak, jak trzeba i nie zawsze to co trzeba. Kiepskie fundamenty jednak pozostały. Zauważyli to wreszcie młodzi naukowcy zaniepokojeni swoją sytuacją”.

Nie neguję, że autor komentowanego tu artykułu doskonale zna sytuację pracowników PANu i to, co pisze jest ze wszech miar słuszne. W PANie od dziesiątków lat dysproporcja między tym, czego od pracowników się wymaga i osiągnięciami wielu z nich, a ich uposażeniem jest wprost żenująca. Przy tym rozdział zasiłków badawczych – obojętnie, jak je nazwiemy – jest uznaniowy w ten najgorszy sposób. Kto więc ma jakieś silne oparcie lepiej lub gorzej wegetuje. O promocji młodych pracowników raczej nie należy mówić. Czemu służą granty czy dotacje? Sprawdźmy komu i na jakie prace je ostatnio się przydziela. Tak więc w artykule zawarta jest gorzka i zawstydzająca prawda. Ale nie to chcę skomentować. Uderza mnie zgoła coś innego, czego autor zapewne nie chciał gruntowniej rozważać.

Porusza on bowiem we formie lakonicznych wzmianek tzw. reformę Gowina, która jego zdaniem jest „niezadowolająca”, ale aktywizuje wiele

środowisk akademickich „zwykle ospałych, raczej skłaniających się do zachowania obecnego, choć niewydolnego, patologicznego status quo”. I dalej jeszcze bardziej zdumiewająca konstatacja: „Reforma nieco zmienia, choć nie zawsze tak, jak trzeba i nie zawsze to, co trzeba”. I wreszcie mowa o jakichś fundamentach, „kiepskich” ale które jednak pozostały.

Zaskakuje autor, który tak trafnie scharakteryzował sytuację w PANie, a o środowisku akademickim dotkniętym ciężkim dopustem tzw. reformy Gowina pisze tak, jak gdyby dowiedział się o tym z jakiejś popołudniówki. Choć znowu mamy paradoks, bo w istocie słusznie pisze Józef Wieczorek, że ta reforma jest niezadowolająca, że coś tam zmienia, ale nie to co trzeba i nie tak jak trzeba. To prawda, ale mówiąc „a” trzeba było powiedzieć i „b”. Bo ta reforma studiów to coś znacznie gorszego, niż niedostatki trapiące PAN. Warto wsłuchać się w to, co mówią na kampusach, a nie nadśłuchiwać laudacji wazeliniarzy, którzy faktycznie poprzez tę reformę mogą dochrapać się wreszcie stanowisk, dzięki którym będą mogli pokazać gdzie mają tę całą rzeszę wyrobników, odtąd mającą status służby domowej.

Tak więc, przy całym szacunku dla autora artykułu na Niepoprawnych.pl, nie można zgodzić się z relatywizowaniem tego, co podobało się uczynić panu Gawinowi z nauką polską. A wspominając o „kiepskich fundamentach” trzeba było jasno powiedzieć, kto i kiedy je kładł, gdyż żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają te dobre fundamenty, na których nauka polska miała się dobrze i nawet władzy komunistycznej nie udało się tego trwale zmienić. Kiepskie fundamenty kładli dopiero majstrowie, których dziełem była III RP. Oczywiście, raczej ma autor artykułu, że na nich to buduje pan Gowin.

Zygmunt Zieliński

Uśmiechnij się...

Strona 7

W tramwaju facet pyta drugiego:

- Ile przystanków jest do Placu Wolności ?
- Trzy
- Za dwa przystanki facet upewnia się:
- To teraz jeszcze jeden ?
- No teraz to pięć

Komisja wojskowa.

- Do jakiej formacji chcielibyście wstąpić ?
- Do marynarki.
- A pływać umiecie ?
- A co, okrętów nie macie ?!

Żyd znalazł lampę. Potarł ją, a ze środka wyleciał dżin. Widząc Żyda zawołał:

- Teraz jesteś moim panem. Uwolnisz mnie od lampy jeśli spełnię twoje 3 życzenia.

Żyd się uradował i natychmiast wykrzyczał:

- Chcę posiadać wszystkie bogactwa świata !
- Dżin najpierw osłupiał - Wszystkie ? - ale zaraz się roześmiał.
- Wy ludzie jesteście tacy przewidywalni.
- Pstryknął palcami i nagle ziemia wokół nich pokryła się wszelakimi kosztownościami, aż po horyzont. Całe góry drogich metali, kamieni, dzieł sztuki i pieniędzy.
- Proszę - rzekł dżin - teraz to wszystko jest twoje.

Ale Żyd rozejrzał się w koło z kwaszoną miną.

- Co jest ? - Zapytał się dżin - Przecież tego właśnie chciałeś.
- No niby tak, ale jakoś nie do końca.
- Jeśli sobie zażyczysz Żydzie to sprawię, że to wszystko zniknie. Wystarczy wypowiedzieć życzenie.
- Właściwie to nieźla myśl - uradował się mężczyzna. - Oto moje drugie życzenie: chcę abyś całe to bogactwo wziął ode mnie i przepuścił.
- Słucham ?! - Dżin aż osłupiał. - Ależ panie, jak mam wydać całe bogactwo świata ?
- Nie wiem. To już jest twój problem.

Daję ci na to 10 lat.

Od tej pory dżin w szaleńczym tempie, bez ustanku i w dzień i w nocy przepuszczał bogactwo świata. Wydawał na drogie pałace, samochody, jachty, alkohol, dziewczyny, rasowe psy i konie, ale bogactwa prawie nie ubywało, a czas mijał. Zaczął kupować totalne śmieci za fortuny.

W końcu po 10 latach dżin na wpół żywy zapukał do drzwi Żyda.

- Panie, wreszcie udało mi się wydać całe bogactwo świata. Wymów teraz ostatnie życzenie i mnie uwolnij.
- Świetnie się spisałeś dżinie. A więc życzę sobie, abyś całe to bogactwo, które ode mnie wzięłeś, teraz byś mi oddał wraz z odsetkami...

Kubal z żoną bardzo podnieśli swój status majątkowy i społeczny. Uznali więc że przyszedł czas by pierwszy raz w życiu wybrać się do opery. Założyli odświętne ubrania i stanęli w kolejce po bilety:

- Tristan i Izolda, dwa bilety poproszę.
- Janusz i Dorota, my też dwa ...

Do baru wchodzi niepozorny mężczyzna

- Przepraszam... czyj był ten rottweiler przed barem...
- Mój! - podnosi się potężny brodac - Ale jak to "był" ?
- Bo mój jamnik go zabił...
- Co ty gadasz !? Jamnik mojego rottweilera ? Jak !?
- No... W gardle mu stanął.

Była sobie para z 60-letnim stażem małżeńskim. Nie byli bogaci, ale dawali sobie radę, ostrożnie gospodarując pieniędzmi. Mieli po 85 lat, ale byli dobrego zdrowia, głównie dzięki żonie, która przez ostatnią dekadę kładła wielki nacisk na zdrowe jedzenie i ćwiczenia. Z pewnością żyliby jeszcze długo, jednak podczas podróży rozbił się ich samolot. Tak więc trafili do nieba. Stanęli przed niebiańskimi wrotami, a św. Piotr wprowadził ich do wewnątrz. Zabrał ich do pięknego dworku, umeblowanego w złoto i jedwabie, z pięknie wyposażoną kuchnią i jacuzzi w głównej łazience.

Zobaczyli służącą, wieszającą ich ulubione ubrania w szafie.

Westchnęli oszołomieni, gdy Piotr powiedział:

- Witamy w niebie. To będzie teraz wasz dom.

Staruszek zapytał Piotra, ile to wszystko będzie kosztować.

- Ależ, nic - odpowiedział Piotr. - Pamiętajcie, to nagroda, którą otrzymujecie w niebie za wasze życie na ziemi.

Staruszek wyjrzał przez okno i zobaczył wielkie pole golfowe, wspanialsze niż jakiekolwiek na ziemi.

- A jakie tam są opłaty ? - mruknął.
- To jest niebo - odpowiedział św. Piotr. - Tu możesz grać codziennie za darmo. Potem udali się do klubu i zobaczyli obficie zastawiony stół, z każdą kuchnią, jaką sobie można wymarzyć. Staruszek patrzył na owoce morza, steki, egzotyczne desery i przeróżne rodzaje napojów.

- Nawet nie pytaj - św. Piotr uprzedził staruszkę. - To jest niebo, to wszystko jest za darmo dla was, cieszcie się.

Staruszek rozejrzał się wokół i nerwowo spojrzał na żonę.

- Dobrze, a gdzie są niskotłuszczowe, niskocholesterolowe potrawy i bezkofeinowa kawa ? - zapytał.

- To jest najlepsza część - odpowiedział św. Piotr. - Możecie jeść i pić ile chcecie i nigdy nie będziecie grubi ani chorzy. To jest niebo !

Staruszek wciąż nie dowierzał.

- Żadnej gimnastyki, aby to zgubić ? - zapytał. - Nie, chyba że chcecie - odpowiedział Piotr.

- Nie ma badania poziomu cukru ani ciśnienia krwi ani...

- Już nigdy. Wszystko, co tu robicie, ma wam sprawiać radość.

Staruszek spojrzał na żonę i powiedział:

- Ty i te twoje durne otręby ! A mogliśmy tu być dziesięć lat temu !

- Żona wyrzuciła mnie z domu.
- Za co?!
- Za słabą frekwencję...

Totalnej opozycji w PE

Renegatom wstęp wzbroniony

Na polską ziemię.

Występek ich potępiony

Bo to podle plemię.

W Strassburgu i w Brukseli

Bezwstydnie opluwają

Polskę. Chcę żeby wiedzieli,

Że wstępu do niej mają.

Szpicle, TW komunistyczni

Babska bez honoru,

Przekupni krzykacze uliczni

Ale cóż, z narodu wyboru.

Niech ich nie minie za to kara,

Że Polskę dziś atakują.

Bo od Polski, ci chamie, wara

I tym, którzy cię wynajmują

Przyjdzie czas, kiedy doznacie

Pogardy także od nich.

Bo wstydu, honoru nie macie,

Trudno żyć bez wartości tych.



*Rosyjsko-niemieckie braterstwo broni
(fot. archiwum)*

frontach. Stąd wielu historyków używa określenia o „nożu w plecy”, wbitym Polsce przez Rosję. Z pewnością tak było, ale należy zauważyć, że polska doktryna obronna nie przewidywała jednoczesnej walki z dwoma, niezwykle silnymi przeciwnikami.

Warto sobie uzmysłowić, że wojska sowieckie na polskim froncie posiadały w dniu 17 września prawie dwa razy więcej czołgów niż Wehrmacht 1 września oraz dokładnie dwa razy tyle samolotów, co Luftwaffe. Tylko te dane świadczą o skali całego przedsięwzięcia.

Tzw. zachodni alianci Polski: Francja i Anglia, nie tylko zdradziecko nie wywiązały się ze swoich zobowiązań wobec Niemiec, ale nigdy nie wypowiedziały nawet wojny Związkowi Sowieckiemu ! A przecież zaraz po agresji z 1939 roku kraj ten gładko dokonał agresji także na państwa nadbałtyckie oraz Finlandię.

Pomimo ogromnej dysproporcji sił oddziały polskie na wschodzie przystąpiły do rozpaczliwej obrony. W absolutnie bohaterski sposób broniło się Wilno (18-19 września) czy Grodno (20-21 września). Słabe, polskie garnizony spowodowały jednak opóźnienie w posuwaniu się jednostek sowieckich na zachód. Również Lwów broniła się zaciekle, otoczony z jednej strony przez wojska niemieckie, z drugiej zaś rosyjskie. Butelkami z benzyną i działkami przeciwpancernymi zniszczono kilkadziesiąt czołgów sowieckich. Miasta broniли głównie ochotnicy oraz harcerze wraz z niewielkimi siłami 35 dywizji piechoty.

Zaciekły opór stawiały również polskie związki taktyczne Korpusu Ochrony Pogranicza, Brygada Rezerwowa Kawalerii Wołkowysk czy Samodzielna Grupa Operacyjna Polesie gen. Franciszka Kleeberga. Przez trzy dni (17 do 20 września) trwała obrona KOP Umocnionego Rejonu Sarny, a w dniach 29-30 września oddziały KOP pod dowództwem gen. Wilhelma Orlika-Ruckemanna rozbiły 52 dywizję sowiecką w bitwie pod Szackiem. Z kolei przedzierająca się na zachód SGO Polesie gen. Kleeberga stoczyła zwycięskie walki z oddziałami sowieckimi pod Jabłonną i Milanowem (29-30 września).

Sowiecka agresja na Polskę z 17 września 1939 roku była rezultatem wielowiekowej tradycji współpracy niemiecko-rosyjskiej, która zawsze dążyła do unicestwienia Polski. O tym należy pamiętać również i dzisiaj. Mechanizmy tej kooperacji obu agresorów zawsze miały swój początek we współpracy ekonomicznej ponad naszymi głowami oraz pozyskiwaniu sobie sprzedajnych jednostek wśród Polaków. Dopiero potem przychodziła jawna agresja z dążeniem do likwidacji Państwa Polskiego oraz następującymi po nim szykanami narodowymi.

Takie w największym skrócie było przygotowanie agresji niemiecko-sowieckiej z 1939 roku. Trwało ono już od Traktatu Wersalskiego. Jego postanowienia były obchodzone przez Niemców dzięki ogromnemu zaangażowaniu się Rosji Sowieckiej, która udostępniała swoje terytorium dla niemieckich manewrów i doświadczeń militarnych.

Dzisiaj mamy postępującą, niezwykle podobną sytuację, w której coraz bardziej otwarcie realizuje się politykę sojuszu niemiecko-rosyjskiego. Częściowo ubezwłasnowolniona przez IV Rzeszę (zwaną Unią Europejską) Polska ponownie jest w niezwykle trudnej sytuacji. Nie wolno o tym zapominać.

Stanisław Matejczuk



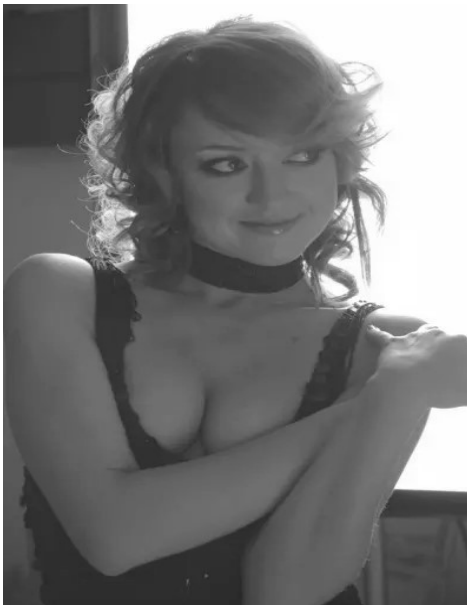
Aleksandr Łukaszenka
(1954 -)



Galina Rodionowna
(1955 -)



Irina Abelskaja
(1964 -)



Iryna Darafiewa
(brak danych)

Większość informacji dotyczących prywatnego życia Aleksandra Łukaszenki opatrzona jest na Białorusi klauzulą: Tajne! Stanowią pilnie strzeżony sekret głowy państwa. Rodzinę pan prezydent zawsze trzymał w ukryciu. Jeżeli chodzi o kobiety, to wiadomo, że ma matkę, Kaciarynę Trafimaunę i oficjalną żonę Galinę Rodionownę, z którą spłodził dwóch

synów, Wiktara i Dymitra. Przez dekadę pokazywał się w towarzystwie kochanki Iriny Abelskiej, która urodziła mu trzeciego syna, Nikołaja, zwanego powszechnie Kołą. Potem jej miejsce zajęła piosenkarka Iryna Darafiejewa. 10 lipca 2018 roku minęły 24 lata od chwili, gdy rządzi Białorusią w sposób niepodzielny. Jego uwielbienie dla władzy widać choćby po stylu

ubierania się. Podczas państwowych uroczystości wkłada strój, który dziennikarze nazwali „mundurem generalissimusa”: spodnie z lampasami i wojskową czapkę.

*

Aleksandr (a właściwie Alaksandr) Ryhorawicz Łukaszenka pojawił się na tym świecie trochę ponad rok po śmierci Stalina. Był 30 sierpnia 1954 roku. Urodził się w kolonii Kopyś, w rejonie orszańskim obwodu mohylewskiego ówczesnej Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Był jedynym dzieckiem Kaciaryny Trafimauny Łukaszenki, pracownicy Orszańskiego Kombinatoru Lnianego, zapewne owocem szybkiej miłości gdzieś na kopie siana czy w oborze. O ojcu nic nie wiadomo, chociaż wnioskując z tzw. *otczestwa* (1) prezydenta, szanowny tatuś miał na imię Ryhor (Grigorij).

Życiorys ojca Łukaszenki owiany jest aurą tajemnicy, prezydent wspomina o nim rzadko, a kiedy już to robi, myli daty i rozmaite wersje. Zgodnie z jedną z nich Grigorij był Cyganem, według innej jednookim Żydem. Część biografów twierdzi, że Jekatierina Trafimauna szybko owdowiała, część - że związała się z żonatym mężczyzną. Sam prezydent przyznał kiedyś, że był drugim synem - pierworodny miał umrzeć w wieku dwóch lat. Później nigdy już nie wracał do tej wersji, wybierając rolę jedynaka. Innym razem powiedział, że jego ojciec zginął na froncie drugiej wojny światowej. Co jednak zrobić z faktem, że Łukaszenka urodził się nie dziewięć miesięcy, lecz dziesięć lat po tej wojnie?

Kilka miesięcy po urodzeniu Aleksandra, matka przeprowadziła się do Aleksandrii. Nie było to jednak znane (drugie co do wielkości) miasto w Egipcie, założone przed wiekami przez Aleksandra Macedońskiego, lecz mała, białoruska wioska nad Dnieprem. Jekatierina, absolwentka czteroklasowej szkoły podstawowej, objęła tam posadę dojarki,

Ciąg dalszy na stronie 10

mały Saszka pomagał jej w pracy, jak mógł, w jednym z późniejszych wywiadów pochwalił się nawet, że nauczył się doić krowy lepiej i szybciej niż matka.

Wychowywał się w trudnych warunkach materialnych, dodatkowo jeszcze z piętnem bękartu. W Aleksandrii ukończył podstawówkę i szkołę średnią, ale uczniem był przeciętnym. Chodził też do szkoły muzycznej, gdzie opanował grę na bawianie, rosyjskiej odmianie akordeonu. (Podczas kampanii prezydenckiej w 2001 roku Łukaszenka zagrał na tym instrumencie i zaśpiewał piosenkę).

W 1969 roku zaczął być aktywny politycznie – wstąpił do Komsomołu, gdzie zajmował się propagandą. Dwa lata później podjął studia na wydziale historycznym Mohylewskiego Instytutu Pedagogicznego. Jego koledzy z tamtych lat wspominają, że (...) zawsze wiedział, jak zakombinować, urządzić się, był też pamiętliwy, jeśli się z kimś pokłócił, nie miał ochoty się godzić. (...) Już w młodości cechował się bardzo wysokimi ambicjami i dążył do politycznej kariery w strukturach państwa radzieckiego poprzez wejście w skład, a następnie awans w łonie tzw. «nomenklatury», czyli systemu obsadzania stanowisk kierowniczych opartego na rekomendacji partii politycznej (od łacińskiego słowa nomenklatura – mianowanie). „W okresie studiów rozwinął w sobie zwyczaj «angażowania się we wszystko» i ustanawiania tam porządku”.

Po ukończeniu Instytutu w roku 1975 podjął pracę nauczyciela historii i wiedzy o społeczeństwie w Szkole Średniej Nr 1 w Szklowie, niewielkim, kilkunastotysięcznym miasteczku w obwodzie mohylewskim, położonym przy ujściu rzeki Szklówki do Dniepru. Tu zaczął snuć marzenia o wielkiej polityce. W latach 1975 – 1977 odbył zasadniczą służbę wojskową w jednostce 2187 Zachodniego Okręgu Pogranicznego w Brześciu, gdzie pełnił funkcję instruktora oddziału politycznego ds. Komsomołu. Po powrocie do cywila rozpoczął zaoczne

studia ekonomiczne. Bardzo często zmieniał pracę, gdzie tylko się pojawił, od razu popadał w konflikty.

W 1985 roku został sekretarzem komórki partyjnej w kołchozie im. Lenina, co utorowało mu drogę do wymarzonej posady dyrektora sowchozu Gorodiec (Haradziec) w Szklowie. Odnaczał się niezwykle chamstwem, wobec kilkunastu pracowników posunął się nawet do przemocy fizycznej. Za pobicie sowchozowego traktorzysty zostało przeciwko Łukaszence wszczęte śledztwo prokuratorskie.

Prawdziwy wiatr w żagle złapał dopiero w okresie gorbaczowskiej pieriestrojki. Wdrożone przez niego metody zarządzania sowchozem uznano wówczas za nowatorskie i bardzo efektywne, zwłaszcza wprowadzenie leasingu, pozwalającego samodzielnie gospodarować nadwyżkami produkcji. W nagrodę został członkiem komitetu rejonowego Komunistycznej Partii Białorusi.

I tak nadszedł rok 1989. Wiosną tego roku Łukaszenka sam wystawił się w swoim sowchozie jako kandydat na deputowanego na Zjazd Deputowanych Ludowych ZSRS, ale w drugiej turze przegrał wybory ze swym przeciwnikiem w stosunku 49% do 51%. Jednak podczas wyborów parlamentarnych 4 marca następnego roku uzyskał w końcu upragniony mandat deputowanego ludowego do Rady Najwyższej Białoruskiej SRS. W związku z otrzymaniem immunitetu, śledztwo przeciwko Łukaszence w sprawie pobicia traktorzysty zostało umorzone.

Jako parlamentarzysta, zasłynął z ogromnej aktywności. Występował często i długo, zabierając głos w debatach nawet w sprawach, o których nie miał zielonego pojęcia. W swoich wystąpieniach popierał prywatyzację, identyfikował się jako opozycjonista i dystansował od coraz bardziej tracącej wpływy KPB.

8 grudnia 1991 roku, na mocy tak zwanego „układu białowieskiego”

Związek Sowiecki przestał istnieć, a na jego miejsce, suwerenne już kraje (w tym Białoruś), powołały Wspólnotę Niepodległych Państw. Aleksandr Łukaszenka zaczął się deklarować jako zwolennik prezydenckiego systemu władzy, twierdząc, że wprowadzi to oczekiwane przez naród silne przywództwo i poczucie kierunku. Popierał ściśle związki Białorusi z Rosją, twierdząc, że Białorusini i Rosjanie walczyli razem w ramach Armii Czerwonej przeciwko nazistom, a upadek Związku Sowieckiego uznał za „największą katastrofę XX wieku”. Proponował unię gospodarczą z Rosją, wspólną walutę i wprowadzenie języka rosyjskiego jako drugiego, obok białoruskiego, języka oficjalnego w kraju. Zapowiadał chęć walki z korupcją.

W 1994 roku, jako kandydat niezależny zwyciężył w pierwszych w historii Białorusi wyborach prezydenckich. W drugiej turze wyborów, 10 lipca Łukaszenka pokonał Władysława Kiebicza, uzyskując 80% głosów. Zwycięstwo osiągnął głównie dzięki poparciu mieszkanców wsi i małych miejscowości, osób z niskim poziomem wykształcenia i złej kondycji materialnej. „Białorusini wybrali prezydenta takiego, jak oni sami” – komentowała ten fakt prasa. Większość obserwatorów, nie tylko krajowych, przekonana była, że objął rządy „tylko na chwilę”, tymczasem „z łaski Bożej”, sprawuje tam niepodzielną władzę już prawie ćwierć wieku. I nic nie zapowiada, żeby kiedykolwiek miał ją stracić. I nie musi przy tym kombinować i robić sobie czteroletnich przerw w byciu głową państwa, jak Władimir Putin...

Jedynie nieżyjący już dziś wybitny znawca Wschodu Marek Karp napisał w „Gazecie Wyborczej”: „Myślę, że Łukaszenko będzie rządził długo, znacznie dłużej, niż mu się prorokuje. Jest to bowiem dyktatura zgodna z oczekiwaniami społeczeństwa. (...) Prezydent to lustro, w którym odbijają się Białorusini. I wcale nie jest to krzywe

zwierciadło. Aleksander Grigoriewicz jest człowiekiem z ludu, wychowankiem kołchozów. Takich jak on są tysiące. Białorusini są bowiem narodem wiejskim, który przeniósł się do miast dopiero w ostatnich pokoleniach. Białoruś w czasach radzieckich była wielkim gospodarstwem rolnym, krainą lasów i pól, podzieloną na kołchozy i sowchozy. Nawet kultura białoruska jest kulturą ludową a symbolem sytości i białoruskiej kuchni jest tam ziemniak. Sadzenie ziemniaków i ich zbiory kultywuje się na Białorusi niczym państwowe święto”.

Jeszcze w 1975 roku, dwudziestoletni wówczas Łukaszenka poznał na szkolnym wieczorku o rok młodszą od niego Galinę Żauniarowicz. Grali razem w przedstawieniu. On Dziadka Mroza, ona Śnieżynkę. Kilka miesięcy później została jego żoną.

Gala Łukaszenka jest postawną, kulturalnie wyglądającą kobietą o kasztanowej fryzurze. Córką nauczycielki, urodziła się w miejscowości Ryżkowicze w rejonie Szklowskim. Jest absolwentką wydziału historii Mohylewskiego Instytutu Pedagogicznego, tego samego, który ukończył Aleksandr. W wywiadzie dla „Komsomolskiej Prawdy” z 2005 roku wspominała początki znajomości z Łukaszenką w sposób następujący: „Sasza był taki przystojny, często organizował wieczorki w Szklowie, tyle kobiet się w nim kochało. I dlatego też wciąż mi się przez Saszkę dostawało. Dziewczyny mówiły: «No, przyjechała i zabrała najlepszego chłopaka». W domu mieliśmy porządną bibliotekę, mieszkaliśmy skromnie, ale na książki nie żałowało się pieniędzy. Sasza dużo czytał, ja także”.

Romantyczne początki znajomości nie zapowiadały, że małżeństwo nie będzie szczęśliwe. Gala zapewne nie przypuszczała, że mąż zamknie ją w areszcie domowym, a sam będzie publicznie pokazywał się z dzieckiem swojej kochanki...

Wkrótce po ślubie, Aleksandr Ryhorawicz zaczął realizować swoje polityczne aspiracje, a Galina zaś podjęła pracę w

miejscowym przedszkolu. Kiedy w 1994 roku został prezydentem, przeprowadził się do Mińska. Sam. Galina pozostała na wsi. Wedle swoich własnych słów postanowiła, że nie wyjedzie z mężem do stolicy i pozostanie w domu rodzinnym. Trudno jednak przypuszczać, aby polegało to na prawdzie. Być może przyczyny takiego zachowania tkwią gdzie indziej. Na początku prezydentury Łukaszenki małżonka kilkakrotnie pozwoliła się sfotografować przy swoich ulubionych zajęciach: dojeniu krów, pracach w polu czy przejażdżkach konnym wozem. Pół kraju wyło z uciechy, opozycja zacierała ręce z zadowolenia. Prasa zamieszczała te fotografie w wymownymi podpisami: „Pierwsza dama Białorusi”.

Po tych publikacjach, najwidoczniej na polecenie Aleksandra, Galinę dosłownie zakneblowano. Od tego czasu w ogóle nie kontaktuje się z dziennikarzami. Okazało się, że otwartość i prostota – cechy za sprawą, których ludzie tak bardzo ją polubili, przysporzyły jej najwięcej kłopotów. Mieszkańcy Ryżkowicz i najbliższych okolic, często również prosili Galę o wstawiennictwo u prezydenta w różnych sprawach, co czyniła z wielką ochotą. Do czasu, aż Łukaszenka miał tego dość... Nigdy nie wypełniała protokolarnych obowiązków pierwszej damy, nigdy nie towarzyszyła mężowi podczas oficjalnych spotkań z innymi przywódcami i ich żonami, nigdy nie wyjechała za granicę. Być może w charakterze swoistej „rekompensaty” została w styczniu 2010 roku nagrodzona Listem honorowym Rady Ministrów Republiki Białoruś...

Spędza czas samotnie w wiejskim domu w Ryżkowiczach pod Mohylewem. Dom został zamieniony w prawdziwą twierdzę, otoczony wysokim murem. Ochrona zabezpiecza „panią prezydentową” 24 godziny na dobę. Strzeże jej nie tylko przed wścibskimi dziennikarzami czy gośćmi z zagranicy. Do Galiny Rodionowny nie mogą się dostać nawet najbliżsi znajomi. Bez zgody Łukaszenki nikt nie może odwiedzić jego żony. Każda próba usamodzielnienia się jest

udaremniana. Liczące około trzystu „zagród” Ryżkowicze są jednym z najlepiej pilnowanych miejsc na całej Białorusi. Areszt domowy pierwszej damy trwa od wielu lat. Rodionowna nie może już plotkować z koleżankami i sąsiadkami, co niegdyś było jej ulubioną rozrywką.

W pierwszych latach izolacji Galina co jakiś czas odwiedzała jednak męża w stolicy, a wrodzone ciepło i otwartość zjednywały jej sympatię jego współpracowników. Zaprzyjaźniła się między innymi z premierem Michaiłem Czyhirem i jego żoną Julią. „To wspaniała, szlachetna kobieta – mówił o niej były premier. - Nie mógłbym powiedzieć o niej złego słowa. Zawsze dbała o dzieci, o męża, niepokoiła się o jego los. Dobrze mu doradzała, ale on nigdy jej nie słuchał. Niestety teraz nie mamy już z nią kontaktu. Łukaszenka zabronił jej spotkań z Julią”. Według Czyhira, białoruski dyktator „wytresował żonę jak psa”. „On po prostu wydawał jej komendy, których musiała słuchać”.

Obecnie Gala Łukaszenka pracuje na stanowisku specjalisty ds. ochrony zdrowia w administracji rejonowej, rekreacyjnie zajmuje się ogrodem. Podczas rzadkich wywiadów, udzielanych starannie wyselekcjonowanym dziennikarzom, usiłuje robić dobrą minę do złej gry. Wychwała w nich małżonka pod niebiosą, jako przykładnego, czulego i troskliwego ojca, no i przede wszystkim wspaniałego prezydenta, który całe swoje życie poświęcił dla kraju. Sama – jak twierdzi – jest szczęśliwa, uczestnicząc w wychowaniu wnucząt.

Z dziećmi, wnukami i mężem widuje się jedynie w święta. Wtedy otrzymuje pozwolenie opuszczenia na kilka dni miejsca pobytu i udania się do stolicy. Prezydent nigdy nie odpowiada na pytania prasy dotyczące pierwszej damy. Oficjalnie nigdy nie wydano komunikatu o rozwiązaniu małżeństwa Łukaszenków, zaś Galina zapewnia niezmiennie o jego

trwaniu.

Z Galiną Rodionową dyktator dochował dwóch synów: Wiktara i Dymitryja. Starszy, Wiktar Alaksandrawicz Łukaszenka urodził się 28 listopada 1975 roku. Ukończył Instytut Stosunków Międzynarodowych na Białoruskim Uniwersytecie Państwowym. Odbił służbę wojskową w sztabie wojsk ochrony pogranicza w Mińsku, gdzie uzyskał stopień kapitana. Od marca 2001 roku pracował jako trzeci sekretarz i doradca ds. Europy Zachodniej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W kwietniu roku 2003 został naczelnikiem oddziału kontaktów gospodarczych z zagranicą w państwowej firmie naukowo-produkcyjnej „Agat”. Od marca 2005 roku jest doradcą prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego. 5 stycznia 2007 roku został członkiem Rady Bezpieczeństwa Republiki Białorusi.

Zdaniem białoruskiego politologa Andreja Lachowicza, z inicjatywy Wiktara Łukaszenki w latach 2007 - 2008 nastąpiły poważne zmiany kadrowe w otoczeniu prezydenta. W ich wyniku od władzy i wpływów odsunięte zostały niektóre osoby związane z resortami siłowymi, w tym, uważany za drugą osobę w państwie, sekretarz Rady Bezpieczeństwa Wiktar Szejman. Ich miejsce zajęli protegowani młodego Łukaszenki. Starszy syn dyktatora doprowadził też do zmiany polityki Białorusi w kwestii prywatyzacji, umożliwiając w ograniczonym stopniu wykup przedsiębiorstw państwowych przez sprzyjającą mu nomenklaturę. Sam prowadzi interesy w branży budowlanej, przynosząc mu olbrzymie dochody. W lutym 2011 roku znalazł się na liście pracowników organów administracji Białorusi, którzy za udział w domniemanych fałszerstwach i łamaniu praw człowieka w czasie wyborów prezydenckich w 2010 roku ukarani zostali przez „Brukselę” zakazem wjazdu na terytorium Unii Europejskiej.

Młodszy, Dymitryj Alaksandrawicz Łukaszenka przyszedł na świat 23 marca 1980 roku. Jest absolwentem wydziału stosunków międzynarodowych Białoruskiego Uniwersytetu państwowego. Pracę dyplomową napisał na temat występów białoruskich sportowców na arenie międzynarodowej. Po ukończeniu studiów odbył służbę w elitarniej jednostce wojsk pogranicza rozpracowującej kontrabandę. Otrzymał kilka medali i awans do stopnia kapitana.

Od 2005 roku jest przewodniczącym rady centralnej stowarzyszenia pod nazwą Prezydencki Klub Sportowy. W lipcu następnego roku wszedł w skład Białoruskiego Komitetu Olimpijskiego oraz komitetu ds. organizacji i zabezpieczenia występów sportowców białoruskich podczas Letnich Igrzysk w Pekinie, powołanego przez Prezydenta Republiki Białorusi.

Po „odprawieniu” Galiny, miejsce pierwszej damy u boku Aleksandra Ryhorawicza zajęła trzydziestoletnia rozwódka Irina Stiepanowna Abelskaja, jego osobista lekarka, endokrynolog, od 2001 roku szefowa prezydenckiej lecznicy. Łukaszenka sadzał ją obok siebie w czasie uroczystych koncertów i akademii, przekazywał wręczone mu kwiaty, towarzyszyła mu w czasie wszystkich wojaży. Zabierał ją nawet na zwykłe spotkanie ze studentami lub na otwarcie nowej stacji metra. Obecnie media nazywały kobietę otwarcie „cywilną małżonką szefa białoruskiego państwa”.

Na początku swojej prezydentury Łukaszenka wybrał się z wizytą do Francji. Protokół dyplomatyczny przewidywał zakwaterowanie prezydenta i ówczesnego ministra spraw zagranicznych Białorusi w sąsiadujących ze sobą apartamentach. Białoruski dyktator, nie bacząc na niebezpieczeństwo wywołania skandalu, kazał wykwaterować ministra

do innego pokoju żeby tylko spać drzwi w drzwi z Abelską.

Irina zamieszkała razem z Łukaszenką w jego rezydencji Drozdy. Nazywano ją „najbardziej wpływową kobietą na Białorusi”. Jej rodzina opływała we wszelakie przywileje. Matka Iriny, Ludmiła Pastajałka (zwana przez naród „teściową”), została mianowana ministrem zdrowia. Oficjalnie przedstawiano Abelską jako osobistą lekarkę prezydenta, ale każdy wiedział, jakiego typu relacje ich łączą. Zwłaszcza, gdy niemalże na pięćdziesiąte urodziny Aleksandra, 31 sierpnia 2004 roku podarowała mu trzeciego syna.

Istnienie Nikołaja Łukaszenki, zwanego pieszczotliwie Kolą, przez kilka lat było skrzętnie przed światem ukrywane. W tym celu prezydent posunął się nawet do sfalszowania deklaracji podatkowej. Ale kto by tam zwracał uwagę na takie drobiazgi. Kiedy Irina rodziła, w szpitalu pojawiły się służby specjalne. Wszystko miało się odbyć w największej tajemnicy.

Dopiero od roku 2008, czteroletni Kola zaczął się pojawiać u boku ojca. Uśmiechniętego blondynka przebiegano w pocieszny wojskowy mini-mundurek i wyprostowany jak struna, w krawacie, przyjmował razem z prezydentem wojskowe defilady, a sędziwi białoruscy generałowie salutowali mu jak głównodowodzącemu. Złotowłose pachole ma najprawdopodobniej ocieplać wizerunek słynnego Bački, często gęsto zachowującego się jak kacyk w bantustanie. Bo w zależności od humoru, widzimy i sytuację polityczną białoruski autokrata albo rzuca tysiące ludzi za kraty, albo - robiąc wodę z mózgu zachodnim demokracjom - przywdziewa maskę demokraty. I wtedy masowo zwalnia więźniów, że aż ich wszystkich trudno zliczyć.

Kola wziął też udział we wszystkich niemal spotkaniach zagranicznych głowy

1918 - wznowienie w setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę - 2018



Wydawnictwo ANTYK Marcin Dybowski

Sławoj Składkowski

**Moja służba w Brygadzie.
Pamiętnik polowy tom I i 2**

**Wydawca: Wydawnictwo ANTYK
Marcin Dybowski**

Rok wydania: 2018

**Opis fizyczny: 414 stron, okładka
miękka**

**Seria 1918 - wznowienie w setną
rocznicę odzyskania niepodległości
przez Polskę - 2018**

Dziennik prowadzony dra Składkowskiego - najpierw lekarza V batalionu, później 1 pułku I Brygady. Niezwykle drobiazgowy i dokładny jest niezrównanym źródłem wiedzy o dniu codziennym żołnierza Legionów. Warto podkreślić duże poczucie humoru autora, nie pozbawione (tak zresztą jak i w innych jego tekstach) dawki autoironii.

Recenzja znaleziona w internecie:

Jan Chryzostom Pasek czytając "Moją

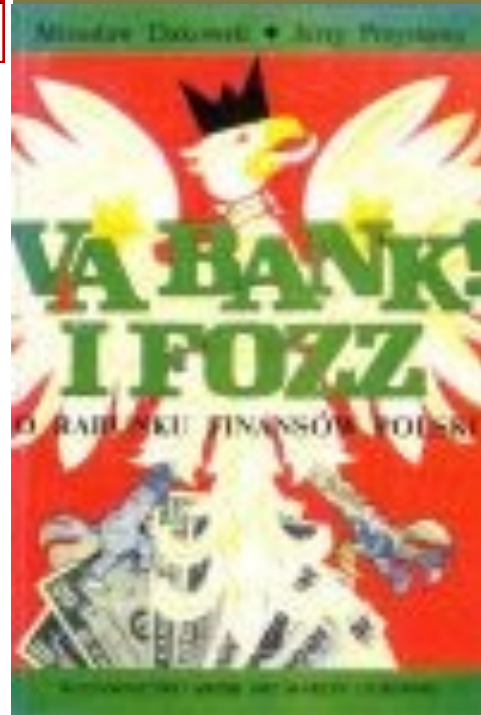
służbę w Brygadzie" (mam nadzieję, że w Niebie też czytać się będzie książki) pewnie ucieszył się, że doczekał się późnego, lecz za to jakże zdolnego sukcesora. Pozornie monotonna, nudna służba lekarza frontowego staje się pod piórem Składkowskiego wielką, mistrzowsko opisaną przygodą. Z pewnością jest to po części zasługa niepowtarzalnego klimatu słynnej I Brygady, najbardziej chyba niezwykłego wojska jakie mieliśmy, jednak inteligentny humor, autoironia (która nie opuściła go gdy był już premierem) Autora sprawiają, że opasła kobyłę (ponad 400 stron dużej "ósemki") "Pamiętnika polowego" odkłada się z żalem, że to już koniec. A propos kobyły - "Moja służba w brygadzie" to także pozycja obowiązkowa dla koniarzy bardziej lub mniej zaawansowanych: sporo tam o koniach, zwłaszcza o ulubionym "Siwutku" Sławoja (który potrafił pokazywać "jak robi piesek"). Piękna, pełna humoru i ciepła książka!

PS. Żeby nie było tak słodko: pierwsze, przedwojenne wydanie mogło się jeszcze bez tego obejść, ale następne, drukowane po siedemdziesięciu paru latach od opisywanych wydarzeń, aż prosiło się o trochę objaśniających przypisów, notek biograficznych itp. aparatu, który przydaje się czytelnikowi nie będącemu historykiem czy biegłym w dziejach Legionów (nie każdy musi być Piłsudczykiem, jak niżej podpisany:). Do tego dochodzą jeszcze błędy w indeksie osobowym (dobrze, że w ogóle jest). Ale i tak czyta się wybornie!

[Michał_K-ski | 2016-02-23]

Termin realizacji: 7 dni roboczych

Nasza cena: 98.00 złotych



**Mirosław Dakowski, Jerzy
Przystawa**

**Va bank! I FOZZ.
O rabunku finansów Polski**

**Wydawca: Wydawnictwo ANTYK
Marcin Dybowski**

Rok wydania: 1992

**Opis fizyczny: 256 stron, okładka
miękka**

Słynna książka Mirosława Dakowskiego i Jerzego Przystawy, która w normalnym państwie spowodowałaby dymisję "autortetów", upadek gabinetów i wszczęcie śledztwa na ogromną skalę.

Termin realizacji: 7 dni roboczych

Nasza cena: 17.00 złotych

Zapraszam do lektury !

Marcin Dybowski

państwa: z Barackiem Obamą, Władimirem Putinem, Hugo Chavezem, Fidelem Castro, poprzednim papieżem Benedyktem XVI i obecnym Franciszkiem. Podczas spotkania z ówczesnym prezydentem Rosji, Dmitrijem Miedwiediewem, ten podarował chłopcu złoty pistolet. Prawdziwy, nie żadną zabawkę. Czy jest naładowany nikt nie wie, ale Kola nosi go w oficjalnie kaburze na wszystkich uroczystościach.

Czternastoletni Kola do dziś mieszka w rezydencji z ojcem. Łukaszenka mówi o nim: „To mój ogon”, ponieważ chłopak jest podobno tak przywiązany do szanownego rodziciela, że ten nie może go ani na chwilę spuścić z oka. Kiedy był mały, podobno osobiście go karmił i układał do snu. „Mój syn nie może zostać sam... – stwierdził w jednym z prasowych wywiadów. - Rzecz jasna, jest on dla mnie dodatkowym ciężarem: nie pozwala nikomu innemu jak tylko mnie ubierać go czy też karmić. Kiedy nie ma mnie w domu, nie śpi, nie je, nie zachowuje się jak dziecko. Jest do mnie przywiązany jak ogon do zwierzęcia i trwa to już od kilku lat. Zobowiązany jestem zabierać go ze sobą, kiedy wyjeżdżam z misją za granicę, w przeciwnym razie chłopiec nie śpi i ryzykuje wycieńczenie.

Podczas gdy podróżując ze mną samolotem - drzemie i je; jest przywiązany do swojego ojca. W tej sytuacji miałbym zostawić go samego pod pretekstem, że mógłby mi przeszkadzać? (...)

Więc niech moja historia posłuży za przykład. Kiedy ma się dziecko, nieważne, w jakich okolicznościach się ono urodziło. Cokolwiek by się nie zdarzyło, dziecko jest najważniejsze”.

Biedny chłopak nie ma jednak w ogóle kontaktu z rówieśnikami, jest najpilniej strzeżonym dzieckiem na Białorusi. Do normalnej szkoły chodził tylko pół roku, po czym ojciec zdecydował, że jego syn

będzie pobierać indywidualne lekcje w domu. Zamiast uczestniczyć w dziecięcych zabawach i rozrywkach, spotyka się z państwowymi notablami i maszeruje podczas propagandowych demonstracji. Dyktator całkowicie odizolował go od matki. „Jest jak maskotka prezydenta – piszą w książce Łukaszenka. Niedoszły car Rosji Andrzej Brzeżicki i Małgorzata Nocuń. - I potwierdzenie jego seksualnej siły”.

„Ludzie, którzy coś słyszeli lub prywatnie znają Baćkę, uważają że polityk ten cierpi na kompleks osamotnienia, który odziedziczył po dzieciństwie bez ojca – donosi z kolei na łamach Onetu Henryk Suchar. - I Kola ma być zadośćuczynieniem tym bardziej, że białoruski lider nie ma dziś do nikogo innego zaufania. Boi się ukrytych rywali, wszędzie węszy spiski. Nie dowierza nawet starszym synom, mniemając, że mogą dać się wciągnąć w nieczyste knowania, które by go mogły odsunąć od władzy. Na podobną chorobę zapadało wielu dyktatorów”.

Podczas wyborów prezydenckich w 2006 roku, kontrkandydat Łukaszenki do fotela prezydenta protestował podczas telewizyjnego wywiadu:

„Jak to możliwe?! Szeft państwa nie żyje ze swoją prawną żoną, ale z inną kobietą, z którą ma dziecko, co za przykład dla naszego kraju...”

Dyktator zmuszony został do publicznej reakcji i przyznania się do rodzinnych kłopotów. „Ponownie postawi mi się pytania dotyczące moich dzieci, mojej rodziny... – kontratakował w mowie wygłoszonej na zakończenie III Kongresu Wszechbiałoruskiego. - Ale, drodzy przyjaciele, zupełnie jakbyście mnie nie znali! Zupełnie jakbyście nie wiedzieli, jakie stosunki łączą mnie z moją rodziną! Co miałbym ukrywać? Nic! Potrzebujecie pierwszej damy, wybierzcie spośród innych kandydatów! Przedstawiają wam oni swoje ladies, i nie tylko. Nie jestem wzorcem w tej

dziejnie. Ani modelem, ani przykładem do naśladowania. Wszyscy o tym wiedzą. Biedną byłaby kobieta, która, choćby była top modelką, dzieliłaby życie z białoruskim prezydentem. Poza moim krajem oraz moją wycieńczającą pracą nie posiadam prawie niczego. Nie jestem więc stworzony do rodzinnego życia, włożyłem wszystkie moje siły w moją pracę”.

Aleksandr Ryhorawicz często zresztą odwołuje się w swych przemówieniach do rodziny jako największej wartości. Wiadomo, że ceni tradycyjną rodzinę. Z homoseksualizmu kpi, nazywając go zboczeniem, choć uważa, że - jak wyraził się podczas spotkania z szefami dyplomacji Polski i Niemiec Radosławem Sikorskim i Guidem Westerwellem – „na baraszkujące ze sobą dziewczyny fajnie byłoby popatrzeć”. „Wybaczam lesbijkom, ale nie gejom, tych zamykałbym w sowchozach” – dodał jeszcze podczas tej rozmowy. Westerwelle, zdeklarowany homoseksualista, poczuł się tą wypowiedzią osobiście obrażony. Gdy dwa lata później Guido nazwał Łukaszenkę dyktatorem, prezydent odciął się: „Lepiej być dyktatorem, niż pedałem”.

Tego typu wypowiedzi umacniają starannie kreowany przez Łukaszenkę wizerunek macho, wzorowany na sowieckich przywódcach. „Dla Łukaszenki wzorem męskości są radzieccy gensekowie – pisze w «Gazecie Wyborczej» Anna Pawłowska. - W większości byli to poważni, silni mężczyźni, przemawiający tubalnym głosem. W mundurze - jak Stalin czy jak Leonid Breżniew obwieszani medalami. Łukaszenka jest samcem alfa - musi rządzić, w dodatku niewybredne żarty i zmieniane jak skarpety kochanki dowodzą, że ma sporą energię seksualną”.

Romans Aleksandra Łukaszenki z Iriną Abelską trwał przez dekadę. W 2004 roku coraz częściej w kuluarach administracji prezydenta zaczęły krążyć pogłoski, że piękna lekarka znudziła się swemu panu i władcy, że jego męska chuć pożąda innych kobiet, że pomiędzy kochankami dochodzi do zgrzytów i awantur, że w towarzystwie prezydent potrafi chamsko odezwać się do Iriny...

I rzeczywiście. Dotychczasową kochankę białoruski satrapa odprawił z kwitkiem, wydając za mąż za osobistego ochroniarza. Po urodzeniu Koli Łukaszenka pozbawił ją nawet jej dotychczasowej funkcji - została zwykłym lekarzem, pracującym w centrum diagnostyki zdrowia w Mińsku. Sam zaś oddał się kolejnej miłosnej fascynacji. Pokochał mianowicie głos i ciało „młodszego modelu”, piosenkarki pop Iryny Darafiejewej.

Teraz to ona zaczęła mu towarzyszyć podczas służbowych podróży do rosyjskiego kurortu Soczi i mieszkała z nim w rezydencji w Witebsku w czasie Międzynarodowego Festiwalu Sztuk „Słowiański Bazar”. Niczym Marilyn Monroe dla Johna F. Kennedy’ego, zaśpiewała dla Łukaszenki urodzinową piosenkę, zatytułowaną Mój niezrównany anioł, nieziemski i nierealny. Dzięki wpływowi prezydenta Iryna otrzymała tytuł „Twarzy Białorusi”, a wizerunek dziewczyny pojawił się na billboardach w Mińsku i na młodzieżowych podkoszulkach.

Plotki o wielkiej miłości białoruskiego dyktatora do rodzimych krasawic krąży od lat. Nie jest też tajemnicą, że Aleksandr Łukaszenka chętnie zaprasza do swojej rezydencji w Drozdach modelki i początkujące piosenkarki. Co pewien czas mówi się o romansach prezydenta to z jedną a to za chwilę z inną pięknoscią. Swego czasu szeptano o jego romansie z atrakcyjną piosenkarką Poliną Smołową, która reprezentowała kraj na festiwalu Eurowizji. Dodajmy, że reprezentowała niezbyt udu-
danie,

europeska publiczność nie była widać zachwycona jej talentem, piosenkarka zajęła bowiem w półfinale przedostatnie miejsce.

Rządowy dziennik „Respublika” napisał, że „przepadła w konkursie, bo publiczność uwzięła się na nią ze względów politycznych. (...) Dynamicznego występu Poliny Smołowej telewizjowie europejskich krajów nie zauważyli, nie usłyszeli albo ? Nie chcieli usłyszeć, bo gdyby zechcieli, to by docenili”.

Ale im częściej powtarzano wersję o tym, że jest kochanką prezydenta, tym częściej sama Polina Smołowa powtarzała, że „ma ukochanego, który podarował jej na urodziny BMW”.

Potem rozeszły się pogłoski o związku Łukaszenki z byłą modelką Olgą Siaroznikową, kierowniczką Narodowej Szkoły Piękności. 3 lutego 2008 roku, podczas obchodów Dnia Republiki dyktator pojawił się w towarzystwie osiemnastoletniej Marty Hołubowej, solistki zespołu „Werasy”. (Kilka godzin później w świętującym tłumie doszło do zamachu bombowego w którym ranne zostało 54 osoby). Od tego czasu jej kariera nabrała tempa, zaczęła się pojawiać w rosyjskich filmach i serialach. Wzięła też udział w pokazywanym przez białoruską telewizję spotkaniu Łukaszenki z aktorami, jakie odbyło się po zakończeniu spektaklu Paulinka rodzimego dramaturga i pisarza Janki Kupały.

Kiedy tylko informacje na ten temat zaczęły krążyć wśród ludu, jedna z gazet białoruskich wprost zapytała Olgę o jej życie osobiste. Siaroznikowa nazwała doniesienia o swoim romansie z Aleksandrem Ryhorawiczem „podłą insynuacją”. Zapewniła, że mieszka sama z mamą, w małym mieszkanku w mińskiej dzielnicy Malinowka.

Od wielu lat Białoruś jest krajem politycznej stagnacji. Do roku 2000

Łukaszenka opanował tam wszystkie przejawy życia politycznego, zmarginalizował lub zlikwidował opozycję, częściowo pozbawił państwo gospodarczej niezależności na rzecz Moskwy, zatrzymał je w rozwoju, zadłużył, a nie zreformował. Już wielokrotnie wydawało się, że jego koniec jest bliski. Po Mińsku krążyły nawet plotki, że prezydent w obawie przed protestami przygotował sobie na wszelki wypadek helikopter. Potem dręczyć go miały różne choroby, wśród których najczęściej wymieniano raka prostaty. Poza tradycyjnymi wrogami, dybać na niego od czasu do czasu mieli nawet Rosjanie, zniszczyć go miała fala kolorowych rewolucji, albo chociaż sroga zima powodująca społeczne niezadowolenie. Ze wszystkich tych kłopotów udawało się jednak jakoś wywinąć. Wydaje się, że nic nie jest go w stanie zmóc.

Lata jednak lecą i choć 64-letni Łukaszenka nie jest jeszcze człowiekiem starym, sił mu nieustannie ubywa. (A na pewno ubywa sił białoruskiej gospodarcze). Ale z pewnością jeszcze nie raz usłyszymy o jego nowych kochankach. Nawet, gdyby to nie miała być prawda.

Przemysław Słowiński

Przypis:

(1) *Otczestwo* - rosyjskie imię ojcowskie. Np. syn Wasyla to Wasiliewicz, córka Nikołaja – Nikołajewna, itd. Imię ojca w języku rosyjskim jest powszechnie stosowane. W Rosji zwraca się do osób starszych i przełożonych używając właśnie imienia i imienia ojca. Współczesne rosyjskie imiona ojcowskie (otczestwa) biorą swój początek od patronimików stosowanych na Rusi. Ruskie imiona ojcowskie pojawiły się już w X wieku. Pierwsza wzmianka o patronimikach pochodzi z 945 roku. Do XIII stulecia częstotliwość używania imion ojcowskich była znikoma.

„Johnek, Podróże kształcą” - powiedziała po angielsku moja amerykańska żona. A dokąd to mamy podróżować, bo w bliskich krajach już żeśmy byli a do dalekich, zamorskich jak Australia lub Antarktyka zdrowie nam nie zezwala z uwagi na zmianę czasu. Dla zachęty żona delikatnie podkreśliła mój podeszły wiek i zmurszały kręgosłup i dodała finansową opinię, że szmału, czy szmalcu do grobu nie zabiorę. Aby uniknąć konfliktów rodzinnych powierzyłem jej wybór celów naszej podróży, na które wypadły podróż do Anglii na trans-Atlantyku QM2, wizyta w Anglii i we Warszawie oraz przepłyniecie na statku francuskim wzdłuż wybrzeży Chorwacji i Montenegro. Moja argumentacja, że już tam żeśmy już byli, a na statku QM2 chyba raz dziesiąty, w Anglii także z żoną i bez żony, wiele razy, a w Dubrowniku jeszcze za świętej pamięci Józefa Broz Tito też, nie zmienił planów mojej żony. Może zobaczysz coś czegoś uprzednio nie widział, a może twoja pamięć już szwankuje i nie będziesz pamiętał wrażeń uprzednich? Wszystko wyda ci się jak nowe i inne, argumentowała ma legalna w świetle prawa cywilnego, małżonka.

Podróż do Anglii na QM2 przypomniła mój pierwszy wyjazd do Anglii w roku 1958, kiedy to jako student wyjechałem z grupą kolegów w celu zbierania kartofli na farmie w hrabstwie Lincolnshire. Związało się to z obiadem przy tym samym stole w restauracji na transatlantyku, gdzie siedzieliśmy z małżeństwem bogatych angielskich farmerów, właśnie z hrabstwa Lincolnshire. Nawiasem mówiąc mój współbiedniak, kartofli już nie siał i nie zbierał, natomiast wynajmuje grunty orne i siewne w innych krajach, zwykle cieplejszych niż Anglia, gdzie sieje i zbiera szczypiorek i inne włoszczyzny. Żona jego natomiast jeździła konno w drużynie olimpijskiej, razem z księżną Anną z dworku królewskiego, dopóki nie złamała kolana spadając z konia, prawdopodobnie w pogoni za lisem. Wspominam o tych, że do wyższych zostaliśmy dopuszczeni, szturchając się

łokciami z anielską nową arystokracją za cenę kilkanaście tysięcy dolarów (od osoby, nie od kilograma). Cofając się lat 60, pragnę wyjaśnić, że moje pierwsze zaproszenie do Anglii, było od polskiego, emigracyjnego zrzeszenia studentów w Anglii, które załatwił mój kolega Reniek w czasie odwiedzin u wujka w Londynie, byłego żołnierza Armii Andersa. Oryginalnie mieliśmy zbierać truskawki, ale przez złośliwość PRL-owskiego urzędu paszportowego, otrzymaliśmy paszporty dopiero we wrześniu, kiedy jedynie kartofle zostały do zbierania. Zakwaterowanie na farmie było w byłych barakach lotniczych z czasów wojny ze szklanym dachem, który przeciekał. W jednym pomieszczeniu były prycze do spania dla 60ciu osób różnych narodowości. Spaliśmy pod brudnymi kocami. Kartofle mieliśmy zbierać za traktorem/koparką, który narzucał tempo pracy. Okazało się, że traktor kopał kartofle szybciej niż żeśmy je zbierali i w rzeczywistości traktor/koparka, ku uciesze kierowcy popychała z nas tyłu. Na traktorze siedział Jugosłowianin, który z uwagi na znajomość języka angielskiego miał stanowisko „ekonoma”. Siedział sobie na traktorze i słuchał piosenki z radia, zaczynającej się od włoskich słów „Volare, Ho ! Ho !, Cantare Ho ! Ho !, której melodia powoduje, nawet dzisiaj, bóle w moim sparciętym kręgosłupie. Po 8 godzinach zbierania ziemniaków, za moich czasów kartofli, będąc zgietym w pół nie mogłem się wyprostować. Następnego dnia nie mogłem wstać z pryczy. Zacząłem się obawiać, że moje krytyczne do PRL przekonanie może upaść i po powrocie do PRL-u zapisze się do PZPR-u, jako bezrolny chłop eksploatowany przez angielskiego obszarnika. Postanowiłem, więc zdezerterować i udać się do Londynu czując się bogatym, gdyż przed wyjazdem z Polski kupiłem od znajomego pracownika Politechniki Wrocławskiej, Pana Januszkiewicza, skoczka spadochronowego z czasów wojny, którego Anglicy zaopatrzyli w angielski funty na drobne wydatki. Wtedy 10 funtów to była duża suma,

prawdopodobnie odpowiadająca sumie 500 dolarów w dzisiejszych czasach. Moja dezercja z farmy spotkała się z krytyką moich polskich kolegów, że hańbię imię Polski i Polaków bojąc się ciężkiej pracy. Najbardziej atakował mnie kolega Leszek Szlachcic, który kilka lat później już, jako partyjny dyrektor, a później prywatny przedsiębiorca, spędził kilka lat w więzieniu na początek komunistycznym, a później już „demokratycznym” po odzyskaniu niepodległości. Wygląda na to, że odnośnie polskie władze nie wzięły pod uwagę Leszka patriotycznych przekonań i denerwowało ich jego nagle zdobyte bogactwo.

Leszek w nowej kapitalistycznej Polsce dorobił się dużych pieniędzy, które mu na początku zabrano, ale w końcu oddano, niestety na krótko przed śmiercią. Czy Leszek zabrał te pieniądze do grobu, nie sprawdzałem, bo w Polsce mnie wtedy nie było? Co do tych 10 funtów, jakie miałem, jako żelazne zabezpieczenie, to okazały się one fałszywe. Na szczęście bank w Londynie potwierdził to zaświadczeniem, które po powrocie do PRL-u przestawiłem Panu Januszkiewiczowi. Przypuszczam, że Pan Januszkiewicz dostał od Anglików fałszywe funty, o czym nie wiedział. Moja podróż do Londynu musiałem skrócić do dwu tygodni i sfinansowałem go przez sprzedaż pierwszego polskiego odbiornika przenośnego o nazwie „Szarotka”. Za kilka funtów, jakie mi zostały po sprzedaży „Szarotki”, kupiłem kilka kilogramów używanych i nieco przepoconych sukien balowych na londyńskim „pchlim targu” czy innej instytucji dobroczynności, które zabrałem do Polski. Po powrocie do PRL-u suknie te robiły furorę wśród polskich pan z „wyższych PRL-owskich sfer” i koszty wyjazdu do kopania kartofli w Anglii zwróciły mi się dziesięciokrotnie. O zapisaniu się do PZPR zapomniałem i postawiłem na kapitalizm, który dzisiaj, 60 lat później zezwala mi na bratanie się na transatlantyku QM2 z obszarnikami,

którzy kiedyś mnie wykorzystywali.

Natomiast angielskiemu farmerowi z Lincolnshire powiedziałem, że teraz wybieram się do Anglii aby podać do sądu farmera u którego zbierałem kartofle o milionowe odszkodowanie za uszkodzony kiedyś kręgostup. Być może, że farmer przy moim stoliku na QM2 był wnuczkim właściciela farmy, na której jeden dzień pracowałem, bo wcale się z mego komentarza i planu nie śmiał. Może nie miał poczucia humoru ?

Warszawo cudna Warszawo.....

Po krótkim pobycie w Anglii poleciliśmy do Warszawy, aby spotkać się tam z tak zwaną „frakcją warszawską” kolegów, którzy pracowali po studiach w Warszawie. Jechałem także z powodów kulinarnych, jako że zatęskniłem za polskim żurkiem i botwinką. Co do kolegów to miałem pewne obawy, że mnie pobiją z uwagi na moje anty- EU, przekonania, ale obawy okazały się płonne, jako, że jedyny silny w swych przekonaniach kolega był właśnie „ służbowo” w Brukseli, więc czułem się bezpieczny. Inni koledzy przebaczyli mi, kiedy im wytłumaczyłem, że moje polityczne przekonania zmieniają się w zależności od pory roku, a także, że kocham Chińczyków, bo ode mnie kupują, a nienawidzę Putina, bo nic nie kupuje. Natomiast denerwuje mnie jego ciężka fizyczna. Na początek zainstalowaliśmy się w renomowanym Hotelu Bristol na Krakowskim Przedmieściu z podobnie renomowaną restauracją super klasy o podejrzanej nazwie „Marconi”. Marconi o ile mi wiadomo, był wynalazcą radia, ale chyba w Warszawie nigdy nie był i nie słyszałem, aby był smakoszem polskich potraw. Zamówiliśmy dwie pieczone kaczki i chłódnik litewski. Kaczki nie dały się pokroić więc zostały zwrócone do kuchni. Chłódnika litewskiego albo botwinki nie mieli. Obiad był przekleństwem, na jakie żeśmy nie zasłużyli. Następnego dnia

udałem się do drugiego hotelu, po przeciwnej stronie ulicy, „Hotelu Europejskiego”, polecanego mi przez męża mej siostrzenicy, podobno słynnego z szerokiego wyboru różnych win w ilości 400. Tam przezornie obejrzałem jadłospis i zauważyłem, że ani żurku ani chłódnika, ani botwinki tam nie spostrzegłem. Był natomiast chłódnik z zielonych pomidorów, co w kuchni polskiej jest potrawa nieznaną. Okazało się, że naczelną kucharką jest z importu i pochodzi z Hiszpanii. On o żurku lub botwince nie słyszał i chyba nie mówi po polsku W obydwu hotelach zaleciłem zatrudnić gospodynię z okolic Białegostoku, która zna się na gotowaniu żurku i botwinki i zatrudnić ją, jako kulinarną konsultantkę. Jeśli nie znajdą Polki to Ukrainka też wystarczy i jak wszystkim wiadomo, będzie tańsza. Następnego dnia dostałem w tajemnicy od portiera w Hotelu Bristol „tajną” listę jadłodajni warszawskich, gdzie można dobrze zjeść botwinkę i żurek za pół ceny. Tam żeśmy się udali i następnego dnia z pełnym brzuchem polskich specjałów opuściliśmy Warszawę w drodze do Wenecji i dalej niewielkim statkiem pod banderą francuską po Morzu Adriatyckim wzdłuż wybrzeża Chorwacji i Montenegro. Między wieloma interesującymi miasteczkami w Chorwacji jedna miejscowość zapadła głęboko w mej pamięci. Był to Dubrownik, który odwiedziłem 40 lat temu.

Antyczna Przygoda w Dubrowniku

To miasto dobrze pamiętam z czasów lat 70-tych, kiedy to odwiedziłem go pierwszy raz z okazji wystawy sprzętu medycznego w Zagrzebiu. Znudzony brakiem zainteresowania i słabą frekwencją na wystawie, udałem się do Dubrownika znanego z średniowiecznych zabytków i interesującego turystycznie. Był to rok 1977 i będąc na miejscu postanowiłem odwiedzić wyspę Brioni, miejsce letniej rezydencji prezydenta ówczesnej Jugosławii, Józefa Broz Tito. Postanowiłem tam popłynąć licząc na jakimś przybrzeżnym prom z Dubrownika.

W Dubrowniku zatrzymałem się w Hotelu Hilton, a pożyczony samochód, Volkswagen, zostawiłem w porcie licząc, że cała podróż zabierze tylko kilka godzin. Na mołu stał jakiś statek, którego nazwa zaczynała się na literę „B..” a kończyła się na literę „...i”. Reszta słowa była przysłonięta przez komin innego statku. Okazało się, że statek ten odpływa za 5 minut, więc nie namyślając się długo kupiłem bilet i wsiałem na pokład. Statek odbił od mola i znalazł się na pełnym morzu i żadnej wyspy nie zauważyłem. Zauważyłem natomiast, że na statku było pełno Jugosłowian z wielkimi torbami wypchanymi butami. Wyraźnie płynęli gdzieś w celach handlowych. Na pytanie, kiedy dojedziemy do Brioni ? Powiedzieli mi, że statek ten płynie do Bari, we Włoszech, nie do Brioni, które to miasto znajduje się dokładnie po drugiej stronie Adriatyku. Zapytałem więc oficera na statku, kiedy będziemy wracać z Bari do Dubrownika. Za dwa tygodnie, powiedział, jako że statek z Bari popłynie do kilku innych portów we Włoszech zacem wróci do Dubrownika. Jedyna droga powrotna będzie drogą lotniczą, ale nie do Dubrownika tylko do Rzymu, z Rzymu do Belgradu i z Belgradu do Zagrzebia i w końcu do Dubrownika. Po trzech dniach i wielu przesiadkach znalazłem się s powrotem w Dubrowniku i ze zdziwieniem stwierdziłem, że mój pożyczony samochód stał w tym samym miejscu. Także z hotelu mojej walizki nie wyrzucono. Wspomnienia z przed lat 40 mnie zarówno cieszą jak i smućą. Czyżby to zjawisko związane z wiekiem, kiedy się pamięta dzieciństwo a nie pamięta, co się jadło na śniadanie? No, ale mogło być gorzej.

Jedyną naukę, jaką wyniosłem wtedy z mej pierwszej podróży do Dubrownika, to przekonanie, że pierwsza litera, nawet duża, nie świadczy, że całe słowo znaczą Brioni. Może być Bari, albo Brooklyn lub Berdyczów.

Jan Czekajewski

1 wrzesień 2018r

Trójmorze czy Mitteleuropa ?

Ukrainka, z rosyjskim paszportem, niemiecką wizą, atakująca wściekle Polskę przed grupką niemieckich lewaków w Bundestagu. Tak w największym skrócie można opisać Ludmiłę Kozłowską, szefową antypolskiej Fundacji Otwarty Dialog. Pomimo uznania ją za persona non grata przez polskie władze i odpowiedniego wpisu do systemu strefy Schengen, przyleciała ona do Berlina na wizie, wydanej przez oficjalne niemieckie władze. W uzasadnieniu wydania wizy widnieje sformułowanie o szczególnym interesie narodowym Niemiec.

Ludmiła Kozłowska nie jest osobą wartą większego zainteresowania, natomiast sam fakt otwarcie antypolskiej akcji przez Niemcy już jest. Tym bardziej, że w ostatnich dniach i tygodniach mamy zmasowany atak niemiecki przeciwko Polsce. Można to nazwać nawet wojną hybrydową, można w dowolny, inny sposób. Pod osłoną tworu zwanego Unią Europejską Berlin prowadzi otwartą wojnę przeciwko Polsce, ale też innym państwom Grupy Wyszehradzkiej. Jednocześnie odnowił się odwieczny sojusz niemiecko-rosyjski, czego przykładem jest choćby Nord Stream 2. Mało tego: w rozgrywkach europejskich nakazano polskim piłkarzom ręcznym noszenie logo tej antypolskiej inicjatywy !

Na tym tle niepokoi inicjatywa Kancelarii Prezydenta RP o zaproszeniu Niemiec do idei Trójmorza. I nieważne czy to nazwiemy w charakterze partnerskim (zapowiedź ministra Szczerbskiego) czy obserwatora (zaczęto tego określenia używać w kilka dni później). Początkowa idea Międzymorza, przekształconego w Trójmorze, zaczyna przeistaczać się w ideę Mitteleuropy Fridericha Neumanna z początków XX wieku. Czy o to w tym wszystkim chodzi ?

Remigiusz Ostrowski



**PARAFIA
p.w. ŚWIĘTEJ RODZINY**
Tajynsza - Kazachstan

ул. Кундыргас 79, 151000 Тайынша
Северо-Казачстанская обл.
Казахстан KAZACHSTAN

o.aleksy@marianie.kz
www.tajynsza.marianie.com

Drodzy Przyjaciele naszej Misji !

**Niech będzie pochwalony Jezus
Chrystus !**

Minął już czas wakacji, wyjazdów i wypoczynku. Jest to czas, gdy wiele osób, które wyjechały na stałe do Polski, czy Niemiec, wraca do Kazachstanu, do Kraju, gdzie wyrosły. Przyjeżdżają przeważnie tylko w gości, nieraz, by odwiedzić żyjących jeszcze rodziców. Przeważnie już nikt nie myśli o powrocie na stałe. Kraje Europy są dla wielu „Krajem marzeń”. Także młodzież nie chce już wracać do Kazachstanu, chociaż przeważnie zostaje w ich sercu coś, z tego Kraju. Patrząc na tych, którzy jeszcze przyjeżdżają, można zaobserwować, że są trochę inni, po zetknięciu się z Polską, doświadczając życia w innej kulturze. Większość osób jest zachwycona Polską, przynajmniej tak mówią...

Kilka dni temu wróciła do Tajynszy po wakacyjnej przerwie nauczycielka języka polskiego. Jej uczniowie czekają z niecierpliwością na rozpoczęcie zajęć, szczególnie ci, którzy planują wyjazd do Polski. Ona też pokochała już Tajynszę i Kazachstan i z radością wraca tutaj, do ludzi, z którymi tu pracuje i spotyka się.

Kazachstan ma coś w sobie takiego, że chociaż wielu myśli, jak stąd wyjechać, to jednak dla innych jest miejscem, które przyciąga i wzbudza tęsknotę, gdy się stąd wyjeżdża. Jedna siostra, która trzy miesiące była w Polsce, powiedziała mi, że już tak bardzo stęskniła się za Kazachstanem.

A teraz trochę wiadomości z naszego podwórka parafialnego...

Wciąż trwają prace remontowe przy ocieplaniu ścian kościoła. Niestety deszcz, którego w tym roku mamy bardzo dużo, bardzo przeszkadza i wstrzymuje prace, ale modlimy się o dobrą pogodę dla przeprowadzenia tych wszystkich prac. Już prawie całkowicie

zostały obłożone ściany Kościoła płytami ze szklanej waty, jeszcze tylko trochę tych najwyższych części kościoła pozostało do obłożenia.

Mimo tych deszczów udało się ruszyć z budową domu parafialnego. Wykopano już rowy pod fundamenty, które chcemy zalać betonem w najbliższym czasie. Aktualne zdjęcia z placu budowy można obejrzeć na naszej stronie pod adresem: www.tajynsza.marianie.com/bdp.html Mamy nadzieję, że uda się tego dokonać jeszcze przed zimą. Chociaż dopiero wrzesień, u nas już zapowiadają przymrozki i śnieg i mimo tego, że ... już palimy w piecu to jednak ufamy, że jeszcze będzie ciepło...

Jak to często bywa, mamy wiele powodów do wdzięczności Bogu i ludziom, którzy nam pomagają, ale wciąż jeszcze przed nami wiele problemów i spraw do rozwiązania. Stąd będziemy bardzo wdzięczni nie tylko za modlitwę, ale też i za wszelką pomoc finansową. By wesprzeć to wielkie dzieło prosimy skorzystać z możliwości podanych na naszej stronie lub skorzystać z organizowanej specjalnie w tym celu tzw. „zrzutki” pod tym adresem: www.zrzutka.pl/dom Z wielką wdzięcznością i ufnością prosimy też o przekazanie tej informacji dalej do jak najszerszego grona osób. Wierzmy, że mając swój udział w każdej cegielce my wszyscy wspólnie dokonamy tego dobrego dzieła, które będzie ku chwale Boga i które będzie służyło innym.

Polecamy te wszystkie intencje Waszej modlitwie i dziękujemy za każdą ofiarę, dla wsparcia tego dzieła budowy, które będzie służyć tu żyjącym ludziom, obecnym parafianom i tym, którzy przyjdą po nich i po nas...

Z wdzięcznością

s. Margareta

Codziennosc kształtuje nasze widzenie świata. I tego oddalonego o tysiące kilometrów i tego wokół nas. W oczu rzucają się szczegóły, te nieważne, niekiedy widziane zaledwie kątem oka. A to z kolei zaciemnia widzenie rzeczywistości, w której naprawdę żyjemy. Rzeczywistości, która zobowiązuje, a przynajmniej powinna.

Śledzę wszystko co dzieje się wokół warszawskiego ratusza w obecnej obsadzie i tego, jakim będzie po wyborach, o ile warszawiacy postawią znowu na system wypracowany przez HGW. Można kwestionować legalność Komisji Weryfikacyjnej, choć jest to podobne do nie uznawania władzy mającej na celu ściganie złodzieja. Ale nie można zakwestionować przestępstw przez tę Komisję odkrywanych. Można też zapytać, skąd biorą się ludzie, którzy żerowali na śmierci i biedzie bliźnich? I wtedy rzuca się w oczy pewien paradoks, tak oczywisty, że powinien być dostrzeżony przez społeczność stolicy, niezależnie od jej opcji politycznych. W najbardziej dla Warszawy tragicznym momencie na fotelu jej prezydenta zasiadał Stefan Starzyński. Nie był z wyboru, ale sprawował urząd komisaryczny. Pewnie wielu miało mu za złe jego sanacyjność. Nie brakowało wówczas karierowiczów, którzy w dobie klęski pierzchli w bezpieczne miejsce. Jego postawy nie trzeba tu relacjonować. Dorobił się jedynie cierpienia i śmierci z rąk okupanta, a przecież mógł wykorzystać swe stanowisko, żeby siebie zabezpieczyć. Okazał się niezłomnym patriotą i dziś zasiadanie na fotelu prezydenta Warszawy powinno zobowiązywać. Powinno! Aliści...

A więc zobaczmy, do czego poczuwały się kolejne władze stolicy, do czego poczuwają się obecne, co obiecują w tym względzie niektórzy kandydaci stający teraz w szranki o fotel, na którym ongiś zasiadał Starzyński. I przypomnijmy sobie koniecznie sylwetkę Starzyńskiego, który zmęczonym głosem do ostatka oznajmiał walczącej stolicy, że jest, że pozostaje na stanowisku, że trwa do ostatka. Może nie

trzeba się aż tak mocno dziwić kandydatom, tak bezproblemowo sięgającym po moralną spuściznę po Starzyńskim, bo ludzie wobec siebie są bezkrytyczni i na to nie ma rady. Ale zważmy, że kandydaci ci mają poparcie wyborców. Nie zawadzi więc zapytać, jak ci ostatni oceniają zobowiązania pozostające po takich osobach, jak prezydent walczącej w 1939 roku Stolicy? Czy stosownie do tego dokonają wyboru? Odpowiedź – w kontekście działań dzisiejszych władców stolicy – musi być tyleż nieprzyjemna, co zawstydzająca.

A więc paradoks. Czy jedyny? A Westerplatte? Czy ktoś, kto dziś chce zredukować rocznicę tego bohaterstwa do rzędu jakiegoś capstrzyku potrafi zdać sobie sprawę z tego, co przeżywał żołnierz, który mając rozkaz trwania na pozycji jedną dobę walczył bez nadziei na zwycięstwo cały tydzień? Nie potrafi i dlatego nie rozumie też, iż przywracanie jakiejś tradycji bazującej na bublu wersalskim zwanym Freie Stadt Danzig i montowanie tablic w tym mieście przypominających ten tragiczny czas, to nic innego, jak odgrzewanie starych wizji irredenty, rzecz jasna niemieckiej, dziś już mocno spłowiałej. Jaki interes ma urzędnik polski, by się w to angażować? Widocznie ma.

Znowu paradoks. Bo w miejsce utrwalania tradycji bohaterstwa polskiego żołnierza i męczeństwa obrońców Poczty Polskiej w Gdańsku, patriotów mordowanych w Piaśnicy i w Stutthofie mamy umizgi do Niemców. W imię czego? Może wartości wymiernych. Dla kogo? I czy znowu nie wypada zapytać, kto stoi za tymi zawstydzającymi i paskudzącymi pamięć o polskim bohaterstwie i męczeństwie wyczynami? Przed kolejnymi wyborami, warto.

Znowu paradoks. Polska walczy o to, by zamknąć usta wszystkim, którzy Polakom przypisują udział w holokauście. Tymczasem instytucje mające promować kulturę polską, w tym

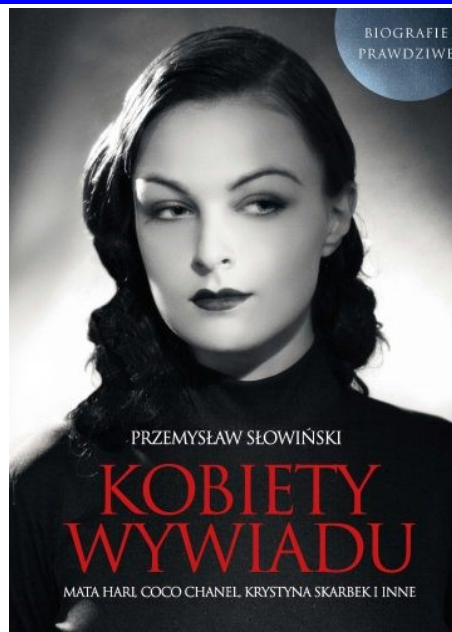
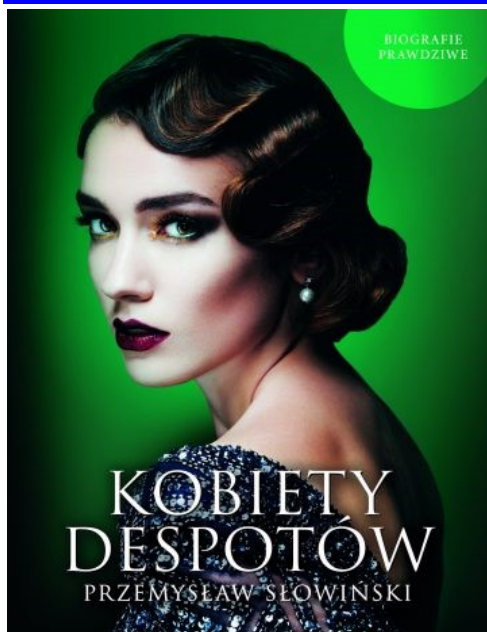
historię, ponoć nie zafałszowaną, łożą miliony dotacji na prace szkalujące Polskę za jej rzekomy współudział w holokauście, choć nawet sami Niemcy przyznają, że to było ich dzieło. Dla wszystkich, którzy nie śledzą współczesnych publikacji przypominam: Dalej jest noc. Autorzy: Engelking Barbara, Frydel Tomasz, Grabowski Jan, Libionka Dariusz, Swałtek-Niewińska Dagmara, Panz K, rok wydania 2018. Wydawnictwo: Centrum Badań nad Zagładą Żydów.

To się nazywa antypolska dywersja propagandowa za polskie pieniądze. O wartości w/w publikacji tyle już napisano, że ograniczam się do zwrócenia na to uwagi.

Ale największy paradoks, który dziś nas nęka w postaci różnego rodzaju potworków korzystających z demokracji, by saczyć jad antypolski. Są to: KOD, Obywatele RP, posłowie w europarlamencie z szeregow totalnej opozycji, okryci złą sławą za wystawę szkalującą Polskę i podobne inicjatywy, m.in. totalna opozycja. Ten paradoks został zainicjowany w 1989 r. Bowiem – był to spektakl na skalę światową – kiedy u kolebki III RP stanęli najwyżsi promineri rzekomo likwidowanej PRL (Jaruzelski, Kiszczak, Ciosek, nie licząc sekretarzy komitetów wojewódzkich PZPR, w nowym wcieleniu ministrów i wysokich dygnitarzy III RP). O takich drobiazgach, jak usynowienie przez nową rzeczywistość bezpieki i ślepo oddanych Moskwie kaczków z LWP nie warto wspominać.

To, co wtedy (okrągły stół, Magdalenka) się stało było podobne do biblijnego wypędzania diabła przez Belzebuba. Wiadomo, co dobrego mogło z tego wyjść?

Takich paradoksów na mniejszą skalę jest co niemiara. Przypomnę tylko choćby jeden. Ograniczę się do przytoczenia dwóch informacji z Internetu.



Polskie paradoksy (dokończenie)

Pierwsza: „Obóz pracy przy ulicy Lipowej 7 [w Lublinie] powstał na początku grudnia 1939 roku z inicjatywy dowódcy SS i policji w dystrykcie lubelskim Odilo Globocnika. Był to najdłużej funkcjonujący obóz pracy na Lubelszczyźnie, w którym początkowo zatrudniono pracowników cywilnych, a od przełomu 1940 i 1941 roku żołnierzy WP pochodzenia żydowskiego. Trzeciego listopada 1943 roku w trakcie akcji „Erntefest” zamordowano wszystkich żydowskich więźniów na terenie KL Lublin (Majdanek). W styczniu 1944 roku obóz, w którym zatrudniono kilkuset więźniów nieżydowskich, stał się filią Majdanek. Istniał do lipca 1944 roku.”

Druga: „Lublin Plaza – trzypoziomowe centrum handlowo-rozrywkowe o łącznej powierzchni 68 tys. m² z kinem Cinema City. Wybudowane przez firmę Plaza Centers. Centrum jest zlokalizowane w centrum Lublina, przy ulicy Lipowej 13. Znajduje się tam 150 sklepów, barów, kawiarni i restauracji”.

Otóż Plaza powstała na miejscu dawnego obozu, czyli miejscu kaźni więźniów różnej narodowości, ale Żydów w pierwszym rzędzie. Jakoś ci ostatni nie zgłosili sprzeciwu, albo jeśli, to okazał się on nieskuteczny. Ciekawe kto stoi za nic nie mówiącą nazwą <Plaza Centers> Może właśnie...? Business is business.

Moralny wymiar tych paradoksów jest wymowny. Przystaje on do orzekania przez sądy, w tym sąd najwyższy, niewinności dla funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości, zarazem notorycznych złodziejasków. No, bo jeśli owi złodzieje zasądzają złodziei spoza kasty, to nie wypada zasądzać ich samych. Bywają paradoksy, w których przestępstwo zbratało się z głupotą.

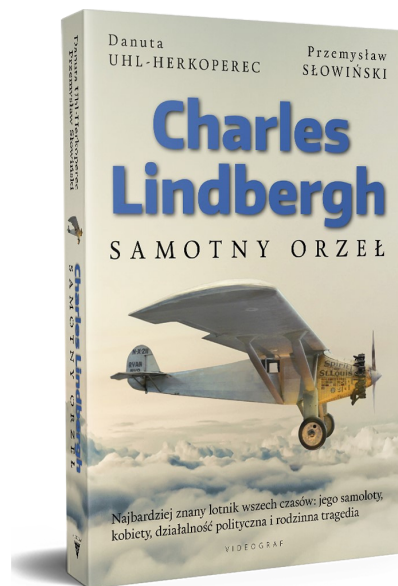
Zygmunt Zieliński

Polecamy dzisiaj trzy znakomite książki Przemysław Słowińskiego, autora znanego z łamów naszego dwutygodnika ze wspaniałych biografii historycznych postaci, napisanych w niezwykle dostępny często dowcipny sposób. Zawsze jednak charakteryzują się one doskonałym warsztatem historycznym. Biografie są dobrane tematycznie, co stanowi ich dodatkową zaletę.

Przemysław Słowiński wydobywa z cienia postaci i sprawy z bliższej i dalszej przeszłości, wielokrotnie traktowane marginalnie (o ile w ogóle) przez historyków.

Po biografiach z „Karuzeli renegatów”, które prezentowaliśmy dotychczas chcemy gorąco polecić „Kobiety despotów” oraz „Kobiety wywiadu”, a także pozycję „Charles Lindbergh—Samotny Orzeł”. Ta ostatnia jest opowieścią o lotniku amerykańskim, który jako pierwszy przeleciał samotnie roku 1927 bez międzylądowań, między Ameryką Północną a Europą. Charles Lindbergh był generałem brygady US Army, doktorem honoris causa Uniwersytetu Illinois i innych uczelni odsuwany przez lewactwo z historii w okresie powojennym.

Wszystkie wymienione pozycje książkowe są do nabycia w Wydawnictwie Fronda.



My w naszym dwutygodniku będziemy prezentować wybrane sylwetki opisywanych przez Przemysław Słowińskiego postaci. Zainteresowanym zaprezentowanymi książkami polecamy link do wydawnictwa: <https://wydawnictwofronda.pl/>

Polecamy i życzymy miłej lektury !

Wszelkie listy prosimy kierować na adres redakcji: redakcja@atopolskawlasnie.com